◆ Zofia Karczewska-Markiewicz ◆ Witold Rudziński ◆ Artur Sandauer ◆ Jao Suejin ◆ Wiktor Woroszylski ◇

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 18 września 1949 r. | Nr 38 (251)

JULIAN STRYJKOWSKI

GINO W PIETRAROSSA

Odchylił zasłonę i wszedł do środka. Czekał na nią na rogu i choć wiedział, że jeszcze nie wróciła, spojrzał na gładkie łóżko. Za kotarą z przeźroczystej panamy, z dużymi oknami łat, spali gospodarze. Z placu — ulicy wpadało chwiejne światło i echo gorącego wiatru. Żarówka na drucie kołysała się na gorącym wietrze. Światło chybotało ulicą jak okrętem. Przesiewało się przez panamę i padało na białe łóżko Beatrice. Kotara oddychała. Migotało przyszyte lusterko na jedwabnej podszewce, która dniem miała kolor brzoskwini. Nad nim, przykłuty szpilką, był obrazek słodkiej Madonny z Dziecięciem. A pod nim fotografia marynarza z białym dekoltem.

Basilio chrapał ze świstem swój pierwszy sen. Chwilami mruczał niespokojnie. Był wrażliwy na sirocco. „Tłuszcz się w nim odzywa" — mówiła jego żona Agnèse, nie mniej tęga od męża. Drewniane stare łóżko skrzypiało. Basilio przewracał się z boku na bok, pojękiwał, skopywał lniane prześcieradło i zarzucał rękę na rozlaną wszerz żonę. Gino dawno im już nie płacił.

Głód ssał go równomiernie tęgo o każdej porze, więc nie wiedział, która godzina. Nie wiedział też, kiedy marynarze mają wracać do koszar. Wyjść na róg i znowu czekać nie chciał, bo zauważył idącą ku korytu Teresę, żonę Fabia. Odsunął rąbek zasłony, która zimą i latem odgradzała życie od reszty nędzy. Nawet w jego zapadłej wiosce w Sardynii, gdzie nie orano ani siano, chaty miały drzwi z prawdziwego drzewa. A Pietrarossa, najczerwieńsze przedmieście Rzymu, była biedniejsza. Było pusto w oknach domów, które zawsze prawie były ciemne, nie widać było wystających głów, chwytających ostatnie drgnienia ulicy. Pietrarossa zmęczona upałem i bezczynnością spała. Asfaltową szosą raz po raz przemykało auto — świetlista smuga oderwana od niedalekiego miasta. Mógłby też wejść i poprosić o „espresso". Pusty bar Mario zamyka o północy. Ale mógłby go równie dobrze zamknąć w południe. Trzeba było zabłąkanych ludzi, jak ten marynarz, żeby błyszcząca niklowa maszyna zaczęła przez chwilę syczeć i sączyć ciurkiem do filiżanki czarną tłustą kawę. Mrugnąłby okiem do Maria: ostatecznie osiemnaście lirów to nie pieniądz nawet dla tych, co go nie mają. Mógłby się do nich przysiąść i spytać marynarza, czy się z nią ożeni. Niech ona raz usłyszy jasną jego odpowiedź.

Gino podszedł do swego łóżka w kącie. Tutaj było ciemno, nawet kiedy zasłonę na drzwiach całkiem odchylano. Tutaj nie dochodziło światło ulicznej żarówki. Położył się w ubraniu i bucikach, aby każdej chwili wstać. Ilekroć zdawało mu się, że słyszy odgłos kroków Bice, podnosił się na łokciach.

— Pluń na nią i znajdź sobie pracę — mówił Basilio. Obie rzeczy były niemożliwe. Na nieszczęście nie ma rady. Dostać pracę, to tak jak gwiazdę z nieba, rzecz nieosiągalna, a Bice poza tym, że mogłaby dać szczęście w łóżku — pracowała, tak, pracowała. Pracowała w pralni. A więc miała wszystko, co dla niego było nieosiągalne. W dzień trochę się zapominało. Było mu nieco lżej. Choć w nocy mniej może dokuczał głód. Siadał z wszystkimi na skwerku z wypaloną trawą i karłowatą pinią. Palono wtedy papierosy. Dziś Fabia nie było. Przychodził zwykle z rudą anemiczną Mirellą, którą trzymał na ręku. Jego żona Teresa była też ruda i szczupła. Prała teraz bieliznę w korycie. Cały dzień do późnego wieczora usługiwała u różnych państwa. Gino wsłuchiwał się w plusk wody. Jedyny żywy głos w Pietrarossa.

Zerwał się z łóżka. Nie słyszał, jak weszła. Zachlupotała woda wlewana do miski. Ściągnęła bluzkę i jasne ramiączka biustonosza podkreśliły śniadość jej ostrych ramion. Wytarła się ręcznikiem.

— Nie śpisz, Gino? — spytała.

Gino powiódł ręką po włosach. Podszedł do niej .

— Jadłeś coś dzisiaj? — spytała go znowu.

— Ja temu marynarzowi żebra połamię, możesz mu to powiedzieć. — Gino usiadł na jej łóżku.

— Możesz być pewny, że ci nie zostanie winny ani jednego twego. — Szarpnęła go za rękaw — zejdź, chcę się położyć.

Gino chwycił ją w ramiona:

— Bice!

Dziewczyna starała się go odtrącić. Przez chwilę szamotali się. Za kotarą zaskrzypiało łóżko. Zbudziła się gospodyni.

— Już się zaczyna — westchnęła.— Spać ludziom nie dają. Nieszczęście, nie ludzie. — Klasnęło. Basilio uderzył żonę w tyłek.

— Nie skrzecz — mruknął. — Dlaczego ja nic nie słyszałem?

Gino trzymał dziewczynę za ręce. Usta Beatrice skrzywiły się, jakby miały za chwilę krzyknąć z bólu. Ale wystawiła mu tylko język. Czarne oczy zajmujące pół jej twarzy patrzyły nań z nienawiścią.

— Silny jesteś jak byk. Ale zarobić solda nie potrafisz. Bezrobotny byk. Puść!

Wyrwała się i szukała na ramionach śladów jego palców. Była zła, że ich nie znalazła. Skosiła go wściekłym spojrzeniem. Gino też był zły i siedząc na łóżku ze spuszczoną głową, powiedział cicho:

— Jutro dostanę pracę a marynarzowi połamię żebra.

Bice wzruszyła nagim ramieniem i po chwili namysłu powiedziała:

— On jutro wyjeżdża. Pożegnał się ze mną.

— Bice! — krzyknął Gino.

— Nie ciesz się. Jedzie do domu, do Galipoli. Za dwa, trzy dni wróci. Jak wróci, pojedziemy do Galipoli do jego rodziców okrętem.

— Przecież on się z tobą nie ożeni. I nigdzie on z tobą nie pojedzie. Możemy się razem wybrać do Ostii. Pojedziemy łódką Lelia. To mój przyjaciel jeszcze z Afryki.

— Taka łódź śmierdzi rybami. Cała Ostia śmierdzi rybami. W Galipoli morze pachnie tak jak u nas, w Paola — Beatrice skrzywiła się, bo Gino położył rękę na jej kolanie. — Jak chcesz, to możemy sobie pomówić, tak trochę. Ale zostaw mnie w spokoju.

— On się z tobą nie ożeni. Nie wiesz, jak jest z żołnierzami. Pojedzie, zapomni. A ja zostanę tutaj zawsze.

Bice położyła głowę na poduszkę. Milczała. Szeroko otwarte oczy utkwiła w sufit. Ruchome światło ulicznej żarówki padało na jej ramiona, chuda twarz, wilgotne nad czołem, czarne włosy. Parę razy chrząknęła. Przykryła piersi dłońmi.

— Zimno ci, Bice? — Gino nachylił się nad nią. Poczuł ciężar własnej głowy szukającej oparcia na cudzej piersi. Pulsowały mu pod pachami ramiona w krótkich rękawach wypłowiałej niebieskiej koszuli. Szeroka szyja wysączyła parę kropel ostrego potu.

— Och, ty!—krzyknął nagle i gwałtownie objął dziewczynę. W tej samej chwili zaskowyczał. Bice ugryzła go w podbródek. Gino zeskoczył z łóżka, zaklął przez zęby, podniósł w górę pięści. Bice myślała, że ją uderzy, ale Gino wybiegł na ulicę.

Kiedy zobaczył żonę Fabia, przeciągnął się, jakby wstał ze snu. Pomacał palcami szczecinę podbródka.

Teresa pochylona nad kamiennym korytem wciąż prała bieliznę. Chciał się już cofnąć z powrotem. Ale żona Fabia odwróciła głowę. Gino głośno ziewnął:

— Późno pracujesz, donna Teresa— powiedział, wsuwając do spodni wystającą koszulę.

— A ty czemu nie śpisz? Beatrice wciąż nie chce cię wpuścić do łóżka? Biedny Gino! A ona się z innym łajdaczy. Żeby się z nią przynajmniej ożenił. Widziałam go, jak ją odprowadził do drzwi. Jak jakąś signorinę. I tak jakby nie był marynarz. A ty byś wziął i połamał mu żebra.

Gino siadł niedaleko koryta. Oparł się dłońmi o ziemię i głowę przechylił w tył. Patrzał na niebo, z rzadka usiane dużymi gwiazdami. Potem otrzepał ręce i plunął daleko przed siebie. Na placu-ulicy było pusto. Płaskie szare domki z zasłonami zamiast drzwi przypominały mu obóz w Libii.

—Donna Teresa — odezwał się po chwili — słyszałem, że wasz Fabio dostał pracę. Wezwał go padre Giacinto. Dziś Fabia nie było na skwerku.

Teresa gwałtownie poruszyła ramionami:

— Rzeczywiście! Padre Giacinto! Rzeczywiście! A na skwerku nie był, bo poszedł z Mirellą do szpitala. Zrobił się jej nowy abces pod uchem. Z niedojadania, powiedział lekarz. Tyle tylko wiedzą. — Teresa westchnęła — Gorączkę ma, że nie wiem jak to wytrzymuje. Fabio żadnej pracy nie dostał.

— A przecież mówiono. Mario z baru mówił, że Fabio był u padre Giacinto i że poszedł do żniw.

— A, rzeczywiście! Mario! Rzeczywiście! Po tym, jak strzelali do Togliattiego, toteż on mówił, że mój Fabio strzelał do karabinierów. I dlatego przyszli wtedy, aby go zabrać. Przetrząsnęli całą izbę, rewolweru szukali, ale gówno znaleźli. Mario nie darmo się widuje z padre Giacinto.

— No, ale dlaczego dziś Fabia nie było na skwerku? — Gino zrobił uparty ruch głową.

— Głupiś. Gdyby dostał pracę, to by nie ukrywał. Tylko zależy, jaką. Tam, gdzie mam popołudniówkę, kazali mi go przysłać. Powiedziałam mu, żeby poszedł. A on się spytał „do jakiej pracy". Powiedziałam mu: szukają bezrobotnych do żniw. Niech przyprowadzi ze sobą jeszcze paru bezrobotnych — powiedzieli mi państwo. A ja powiedziałam: *bacciole mani*. Nawet całą Pietrarossa, jak państwo chcecie. Nie znasz Fabia? Z pięściami się na mnie rzucił.. „Powiedz im, że pluję na nich z siódmego piętra. Niedoczekanie ich, żebym chodził łamać strajki". A ja skąd mogłam wiedzieć, że szukają łamistrajków? — powiedziałam mu.

— I nie poszedł?

— Nie znasz Fabia? Nie znasz ich? Teresa zrobiła ruch głową w stronę domku otoczonego niedokończonym jeszcze parkanem kamiennym. —Wolą zdychać z głodu. A mój Fabio pierwszy.

— Donna Teresa, dajcie mi adres waszych tych...

Teresa przerwała pranie. Podparła się rękami. Potrząsnęła rudą jak płomień głową:

— Co?

— Dajcie mi adres — powtórzył.

— Niedoczekanie!

— Donna Teresa, jak nie pójdę ja, pójdzie kto inny. Jaka różnica?

— Tak, tak. Świnia się zawsze znajdzie.

— Ale, gdyby Fabio poszedł, nie byłby świnią. Samiście go posyłali.

—Tak. Posyłałam. Bo już nie mam sił. Mirella wciąż choruje. A Grazia wróciła wczoraj od Urszulanek bez zupy. „Twój ojciec — powiedziała jej siostra Beata — jest grzesznikiem i jeszcze innych namawia do grzechu". To mi już raz powiedział padre Giacinto, kiedy wychodziłam z kościoła. — Teresa wytarła mokre czoło ramieniem -- Ale ty? Jak ty się możesz równać z Fabiem? Jesteś kawaler. Innym jest jeszcze gorzej. Masz dach nad głową, masz łóżko.

— Kiedyś, raz Bice za mnie zapłaciła. Za to łóżko.

Teresa wyżymała prześcieradła i wrzucała do wielkiej cynowej miski. Kończyła pranie. Koło śmietnika, za wychodkiem, gziły się dwa koty. Ich zawodzenie przypominało płacz niemowlęcia. Brzydka jest miłość kotów, ale nie mają ludzkich utrapień. Nad domkami dął cicho sirocco. Przez gościniec w sześciopiętrowych domach oficerskich gdzieniegdzie świeciły się okna. Ale i one gasły jedno po drugim, jakby się urywały ostatnie nici. Żarówka zwisająca na drucie kołysała się, podrywając gwałtownie ulicę.

Teresa podłożyła chustę, żeby misa się nie zsuwała podczas chodzenia i żeby też mniej potem bolała od ucisku głowa. Szła wyprostowana, ale pod ciężarem wyglądała teraz mniejsza jeszcze i spłaszczona. Mieszkała niedaleko.

*

W drodze do Urszulanek padre Giacinto zatrzymał się na skwerku. Gino widział go już z daleka. Zadrżał. Wszystko z tego przeklętego głodu — pomyślał. Ale to zadrżało serce, bo od rana myślał o księdzu. Padre zrobił jeszcze parę kroków i stanął przed lokalem. Patrzył na chłopców ze spalonymi od słońca plecami, nakładających nieociosane kamienie na rosnące od dwóch dni ogrodzenie. Przerwali pracę. Ksiądz uśmiechnął się. Chłopcy poruszyli długimi, zwisającymi niezręcznie ramionami. Odpowiedzieli uśmiechem.

Ksiądz podniósł dłoń i wskazał otwarte drzwi. Zapytał, czy może wejść. Chłopcy spojrzeli po sobie, a Giancarlo o błyszczących oczach ściągnął skórę na czole. Ksiądz nie czekał na odpowiedź, bo wiedział, że tutaj spotka go zdumione milczenie— przekroczył więc ten próg.

Skwerek w jednej chwili opustoszał. I Gino poszedł z innymi. Stanął w samych drzwiach. Mały lokal zapełnił się, a ludzie wciąż biegli, wyjątkowo bez krzyku, nie mówiąc nawet do siebie, jak podczas katastrofy lub ucieczki. Dla tych, którym nie starczyło miejsca wewnątrz, pozostawał, tak samo jak podczas większych zebrań, nasyp przed oknem, przez które całą przestrzenią wlewało się do środka popołudniowe słońce.

Padre Giacinto rozglądał się wokoło. Podszedł do stojącego w kącie sztandaru, rozwinął go do miejsca, gdzie widać było zakrzywienie sierpa. Przeczytał napis na afiszu z Chińczykiem trzymającym w ręku karabin: „Viva Mao-Tse". Podniósł oczy ku wypłowiałemu transparentowi, nawołującemu do głosowania na Front Ludowy.

— Przecież już dawno po wyborach — powiedział — czemu nie zdejmujecie tego?

Przez chwilę była cisza, jeszcze głębsza, która się robi zwykle, kiedy schodzi w głąb zebranych ludzi, mających dać nagłą odpowiedź. Potem nastaje śmiech i ożywienie. I teraz też tak było, kiedy Marce, ojciec Giancarla, wysoki, tęgi robotnik w trykotowej koszulce odpowiedział, że transparent nikomu nie przeszkadza, a winna nie prosi. Ksiądz szukał oczyma tego, kto się odezwał. Wtedy spotkał się ze wzrokiem Gina. Ponieważ twarz Gina była bledsza od twarzy wszystkich innych robotników, bardziej spocona, choć nie biorąca udziału w ogólnym ożywieniu — padre Giacinto mógł pomyśleć, że to był właśnie on. Ale widocznie ksiądz nie był pewny, bo zrobił kaczy ruch szyją i głową, wyjął chustę, aby otrzeć sobie czoło. Śledzono każdy jego ruch. Padre powiedział: „beh" i schował chustę. Potem wyciągnął paczkę papierosów i mrugnął do najbliżej stojących chłopców, którzy się cofnęli, chowając ręce w tył. Ktoś z zewnątrz, z zaglądających do środka oknem, wesoło zawołał:

— Weźcie, to napewno amerykańskie!

Roześmiano się. Śmiał się też padre. Paczka papierosów zaczęła wędrować po izbie. Trzaskały zapałki. Dali ogień księdzu. Padre zaciągnął się i wypuścił cienką smugę dymu do sufitu. Śmiesznie drgał przy tym różowy obwisły podbródek. Zakrztusił się i uśmiechnął, kręcąc głową. Odpowiedziano mu uśmiechem.

— Ciasno wam tutaj — powiedział ksiądz, strzepując z sutanny nieistniejący jeszcze popiół.

Robotnicy coś bąknęli, jeden przez drugiego. Gość nie wyłowił z tego ogólnego szmeru ani jednego „tak" ani „nie". Ale wystarczyło, żeby podtrzymać rozmowę.

— Wiemy, jak wam jest ciężko — powiedział — i radbym wam pomóc— padre pogłaskał się po kolanie. Mówił, patrząc w podłogę. Po to właśnie przyszedł, żeby im pomóc. Niestety, tylko niektórym. Nie wszystkim. Na razie tym, co najbardziej potrzebują. Ojcom rodziny, tym, co muszą przed innymi dostać pracę. Potem dopiero przyjdzie kolej na innych. Podniósł niebieskie, pływające w wodzie oczy ku transparentowi z przestarzałym hasłem wyborczym, ale je szybko oderwał i zwrócił ku staremu, bezzębnemu Sandro, ojcu Marca i dziadkowi Giancarla. Starzec był drobny i chudy. Opierał się jak pątnik oburącz na lasce. Odepchnął swego wnuka i stanął naprzeciw księdza.

— Jaki on skory do roboty, ten stary — pomyślał Gino. Tego samego, zdaje się, przeraził się Padre.

— Ojcze — przemówił do Sandra ksiądz — wybaczcie, że nie znam waszego imienia. Od dwóch lat służę tutaj Bogu, ale wielu z was widzę po raz pierwszy. Żony wasze częściej przychodzą do kościoła. — Padre Giacinto uśmiechnął się. — Ile macie lat, ojcze?

Starzec machnął ręką:

— Mógłbyś być moim synem, padre Giacinto.

— No, aż na tyle nie wyglądacie.

— A na ile mnie ocenicie, padre Giacinto? — Sandro zmrużył oczy.

— Ponad pięćdziesiątkę.

— Ho, ho, chytryś, padre — Sandro uderzył się zakrzywionym palcem po nosie. Potem odwrócił się ku robotnikom, wciąż opierając się oburącz na lasce. — No, jakeście słyszeli, przyszli do was, ażeby wam dać pracę. Odkąd pamiętam Pietrarossa, to zawsze myśmy chodzili prosić roboty. Ja chodziłem, mój Marco chodził, mój Giancarlo będzie chodził, Tak, padre Giacinto. Ja głodowałem, mój Marco głodował, mój Giancarlo będzie głodował. I nagle przychodzi padre Giacinto i od razu będzie praca. Ej padre Giacinto, nie wierzę. Ksiądz przez cały czas kiwał głową, uśmiechał się zamykając przy tym oczy. Parę razy otworzył usta, aż wreszcie przerwał Sandrowi:

—Tak, chcę wam dać pracę, ale jak powiedziałem, niestety nie wszystkim. Ilu jest w Pietrarossa bezrobotnych?

— Wszyscyśmy bezrobotni. W Pietrarossa wszyscy są bezrobotni. Odkąd skończyła się budowa tych domów oficerskich, nie mieliśmy roboty — odezwał się głos zza okna.

— Te domy miały być dla nas. Tak nam mówiono w czterdziestym szóstym, kiedy Togliatti był jeszcze w rządzie — krzyknął Giancarlo; błysnął na księdza swymi czarnymi oczyma i oblał się rumieńcem. Ale zakrzyczeli go natychmiast starsi:

— Przypomniał sobie!

— Tak, przypomniał sobie!

— Darujemy im te domy, niechby nam tylko dali robotę.

— Tak, robotę niechby nam dali!

Powstała krótka wrzawa. Wszyscy mówili naraz, choć nikt nikogo nie starał się przekrzyczeć, gdyż nie trzeba było nikogo przekonywać. Wszyscy byli zgodni, zgodnie wzruszali ramionami:

— Ech!

Wrzawa powstała właśnie w chwili, kiedy wszedł Fabio. Pierwsi zauważyli go ksiądz i Gino, który stał we drzwiach. Gino znowu zadrżał, kiedy Fabio w przejściu, zdążając w stronę księdza, zwrócił się do niego; Fabio kazał na siebie poczekać, gdyż ma do niego interes. Gino domyślał się mgliście, o co idzie Fabiowi. Trudno było przypuszczać, że Teresa nie powtórzy swemu mężowi rozmowy, jaką miała z nim wczoraj.

Ksiądz rozglądał się z przejęciem, gdzieby wyrzucić zgaszonego, ledwo poczętego papierosa, a gdy stanął przed nim Fabio, zawołał radośnie:

— Ach, Fabio, jakże się cieszę, właśnie was brakowało; wy jako sekretarz będziecie mogli najsprawiedliwiej załatwić sprawę. — Ksiądz zabierał się do bliższego wytłumaczenia swych słów.

— Wiem, o co idzie — przerwał mu Fabio. — Chętnie przyjmiemy pracę. Ale chcemy wiedzieć, jaka to praca.

Ksiądz wciągnął głowę w ramiona i spojrzał na Fabia z ukosa.

— Jaka praca? Co znaczy: jaka praca? Jak wam nie wstyd tak się pytać? Gdy ludzie od lat są bezrobotni? A dzieci cierpią głód? Nie każdy może się zgodzić, żeby żona nań pracowała od świtu do nocy. — Ksiądz nagle wstał i rozłożył ręce: — patrzcie na tych ludzi! Oni jak zbawienia czekają pracy! Fabio, nie nadużywajcie ich cierpliwości chrześcijańskiej, strzeżcie się rozpaczy głodnych. Ich gniewu strzeżcie się. Mylicie się, jeśli uważacie ich za głupszych od siebie, i że można ich ciągle zwodzić zgubnymi radami. Nie, Fabio, nie takiego się od was pytania spodziewałem.

— Padre Giacinto — Fabio podniósł obie dłonie, jakby zasłaniał się przed słowami księdza — kazanie kazaniem, to wam wolno, choć do tego jest kościół a nie nasz lokal, może się wam uda kogoś przekonać, próbować wam wolno, choć Chrystus nie polityki od was oczekiwał, ani obrony obszarników; ale werbować łamistrajków wam się na pewno nie uda tutaj w naszej Pietrarossa. Tak, przyszliście tu, padre Giacinto, werbować łamistrajków dla pana Torlonii. I na to nie pozwolimy. Ani wam, ani nikomu. Co do tego nie może być żadnej dyskusji. W Pietrarossa nie było i nie będzie łamistrajków.

Gino czekał na odpowiedź księdza. Zaciągnął się mocno ostatkiem papierosa, który mu już parzył palce. Gładka twarz księdza spoważniała. Przebiegł szybko oczyma po zebranych. Wiedział, że jeśli o chwilę przedłuży swe milczenie, przepadnie nawet najlepszy argument. Każda sekunda wzmagała złośliwą nadzieję robotników na najgorszy argument. Czytał to w ich zmrużonych oczach.

— Nawet w Sodomie znaleźli się sprawiedliwi, a czy w Pietrarossa nie znajdzie się ani jeden? — zaczął ksiądz. — Nie wierzę w to. Bo każdego z was trzymano do chrztu świętego. Bośmy tu wszyscy bez wyjątku chrześcijanie. Czy to nie prawda? Pytam was, czy to nie prawda? Czy obowiązkiem każdego chrześcijanina nie jest może dbać o dobro swych bliskich, a przede wszystkim swoich najbliższych, swych żon i dzieci? Czy żywe dziecko cierpiące głód nie jest droższe dla swych rodziców od martwych sztandarów, od płócien z wypisanymi tam tegorocznymi hasłami, które zakończyły się klęską? Ludzie boży, opamiętajcie się! — Ksiądz podniósł dłonie. Był blady i ręce mu drżały. Chciał jeszcze mówić, biorąc martwą ciszę za posłuch. Nie wiedział, że na tę przerwę czekano.

Wybuchnęły głosy protestu. Zaczął Marco, syn Sandra. Zawtórowały inne, zrazu pojedyńcze, z różnych kątów izby, a potem złość i oburzenie rozładowały się w ogólnym krzyku. Jedni podchwytywali słowa drugich. „Dosyć! dosyć! nie chcemy więcej"!, „to nie była klęska, to było oszustwo księży"! „to wyście straszyli lud madonnami, które przewracały oczyma!" „nasze sztandary nie są martwe!" „My nikogo nie obrażamy, ale nie damy, żeby nas obrażano" „Bene, bene", krzyczeli chłopcy, tupiąc nogami. Giancarlo odwrócił się, włożył dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdnął, jak na wiecu, kiedy padnie nazwisko Scelby. Ktoś stojący za księdzem w kącie, chwycił sztandar i podniósł w górę, rozwijając go. Wybuchnęła radość. Robotnicy zaczęli klaskać w ręce.

Ksiądz złożył dłonie jak do modlitwy. Opuszczone powieki drgały, podnosząc się nieznacznie kącikami do góry wraz z brwiami. Naokół drżących warg trzepotał się uśmiech, jakby się bał osiąść na ustach. W jednej chwili twarz i czoło oblały się potem. Jeszcze się starał ręką uciszyć burzę, jeszcze próbował wycofać się z jak najmniejszą klęską. Usiłował zagłuszyć wrzawę:

— Niech Bóg wam przebaczy, będę się modlił za wasze grzechy.

— Za jakie grzechy? — wrzasnął Marco — módlcie się za grzechy pana Torlonii, on ma ich dużo! To nie wybory, żeby nas straszyć grzechem!

Ksiądz patrzył na pałające gniewem twarze. To były piekielne twarze. Wybuch nienawiści przeciw niemu, przeciw Bogu. To był próg diabła, a nie ludzi zbłąkanych, po których spodziewał się, jako najgorszego, milczącego zdziwienia.

Ksiądz ze ściągniętą wokół ust, jakby źle zszytą twarzą, odwrócił się do otwartych na oścież drzwi. Zrobił namaszczony ruch ręką nad głowami ludzi, jakby chciał rozdzielić morze. Natychmiast też rozstąpiono się. Zrobiono mu przejście. Teraz zapanowała cisza, która odprowadzała księdza do wyjścia. W tej samej chwili Gino ujrzał Teresę, żonę Fabia. Biegła na przełaj skwerku, rozwiane rude włosy paliły się w słońcu jak ogień. Biegła do męża ze złą wieścią. Mirella, która przez cały dzień wczorajszy i całą noc leżała nieprzytomna z gorączki, umierała. Dopadła okna, zarzuciła ręce na parapet i rozpaczliwy krzyk przerwał ciszę, odprowadzającą księdza do wyjścia.

Gino wykorzystał ten krzyk i tę chwilę, kiedy wszyscy zwrócili się ku oknu, i poszedł za księdzem. Ksiądz szedł szybko w stronę zakładu Urszulanek, gdzie była pora rozdzielania posiłku. Gino przyśpieszył kroku, kiedy ksiądz minął zamknięty na kłódkę bar. Dognał go przed furtką i zdążył jeszcze szepnąć:

— Padre Giacinto... padre Giacinto... proszę mnie, mnie pracę dać.

Ksiądz cofnął się, spojrzał zdumiony na Gina, a potem kiwając gwałtownie głową, pociągnął go za sobą. Przeszli szybko przez kamienny dziedziniec, otoczony murem, na którym wiły się glicynie. Ksiądz na chwilę zatrzymał się przed gankiem, natłoczonym o tej porze dziećmi. Na podłużnym stole dymił się duży kocioł. Siostra w skrzydlatym kornecie rozlewała chochlą zupę do podstawianych przez dzieci garnków.

— Siostro Beato! — zawołał na nią ksiądz i dał jej znak, żeby poszła za nim.

Gino znalazł się w pustej sali o podłużnych łukowatych oknach z opuszczonymi do połowy storami. W dwóch rzędach stały ławki z pulpitami. W kącie wisiała tablica, na której było napisane koślawymi literami: „Per l'Anno Santo noi bambini di Gesu..." a dalej były białawe ślady gąbki. Na katedrze w zagłębieniu tkwił kałamarz. Przenikająca przez „persianę" pomarańczowa smuga słońca padała na przebite gwoździem, bose nogi Chrystusa. Kiedy ksiądz usiadł na katedrze pod krzyżem i rozpiął pod szyją kołnierz sutanny, weszła siostra Beata. Stanęła przy drzwiach i spytała, czego sobie padre Giacinto życzy. Poza tym powiedziała, że w foresterii czeka Mario, co mu ma powiedzieć.

— Niech czeka ten bałwan — rozzłościł się ksiądz. — Ile rozdzielono porcji zupy? — spytał spokojnie.

— Nie wiem, ile — powiedziała siostra Beata — może połowę.

— Dosyć! Więcej nie wydawać. Powiedzcie dzieciom, że dla reszty zabrakło.

—Jakto? Padre, zabrakło? Przecież dzieci widzą, że kocioł jest prawie pełny. I co zrobić z resztą? Przecież nie wylejemy tego. A do jutra zupa skiśnie. Padre, co ja zrobię z resztą zupy?

— Daj kurom. Nie wiem, rób, co chcesz.

— Ależ, padre, kury nie jedzą zupy. Co też padre mówi? Wprost śmieszne!

— Zrób, co chcesz. Czy to ja się zajmuję gospodarstwem, czy Beata?

— To najlepiej dać dzieciom.

— Nie! — ksiądz stuknął ręką o katedrę. Siostra Beata opuściła głowę, zakrywając skrzydłem kornetu swoją okrągłą, chłopską twarz. Mocno zawarła za sobą drzwi.

— A więc — zwrócił się ksiądz do Gina, który wsłuchiwał się w odgłos kroków Beaty, stukających w długim korytarzu. — Czego może chcieć tutaj teraz Mario z baru — myślał. Mario mógł go widzieć wchodzącego — Dam ci pracę, synu — mówił ksiądz, ale musisz znaleźć i przyprowadzić jeszcze paru bezrobotnych. Będziesz kosił zboże Albo też... — ksiądz zawahał się, wpatrując się uporczywie w twarz Gina. Gino powiódł dłonią po włosach. — Pojedziemy o piątej rano — zaczął znów ksiądz — jakieś kilkanaście kilometrów stąd. Ciężarówka będzie stała za domami oficerskimi.

(Dokończenie na stronie siódmej)

ARTUR SANDAUER

NIEBEZPIECZEŃSTWA WULGARYZACJI

Publikujemy wypowiedź Artura Sandauera, jako głos w dyskusji, która — mamy nadzieję — rozwinie się wokół zagadnień współczesnego pisarstwa. Rzecz jasna, zanim redakcja podsumuje jej wyniki, chcemy dać pisarzom możność wypowiadania swoich poglądów.

Tocząca się obecnie w czasopiśmiennictwie radzieckim walka o podwyższenie poziomu i o zaostrzenie wymagań krytyki nie znalazła dotychczas należytego odgłosu w polskiej prasie literackiej. Co więcej, ostatnie wystąpienia niektórych naszych publicystów, podkreślające wyłącznie sprawę tematyki i lekceważące troskę o wartość artystyczną — zwaną przez nich eufemistycznie „warsztatem" — zdają się świadczyć o tendencji wręcz przeciwnej: mam tu zwłaszcza na myśli artykuł Kazimierza Brandysa pt. „Pomyślny wiatr" („Kuźnica" nr 26), artykuł tym bardziej godny uwagi, że — ktokolwiek zna wygłaszane przed rokiem lub dwoma przez tegoż autora na łamach tejże „Kuźnicy" sądy — w ostatniej jego proklamacji nie może nie dopatrzeć się rodzaju pojedynku przed lustrem, gdzie antagonistami są dwaj — identyczni w personaliach, choć oddzieleni okresem dwu lat — autorzy, których dla uproszczenia będziemy nazywać „Brandysem 1947" i „Brandysem 1949". Podczas gdy Brandys 1947 uważał konwencje powieściowe Balzaka czy Stendhala za przebrzmiałe i bronił powieści amorficznej typu proustowskiego („Kuźnica" nr 70), to jego sobowtór z roku 1949 potępia w czambuł „pisarzy mieszczańsko - rentierskiej Francji i mądrych ironistów z wyspy brytyjskiej"; gdy tamten *dopuszczał* jedynie możliwość istnienia literatury masowej, której — pośpieszał zapewnić — nikt nie pomiesza z Joyce'em i głosił tym samym potrzebę literatury dwusektorowej („Kuźnica" nr 134-135), ten zachwala szorstkość i prostotę piśmiennictwa ludowego. Nie, jakobyśmy z metamorfozy tej chcieli uczynić zarzut autorowi artykułu; prawo do zmiany wydaje nam się cechą wszystkiego, co żywe. Widok jednak dwu tak odmiennych stanowisk identycznej postaci pobudza nas do rozważenia, kto z nich ma rację lub czy, być może, nie ma jej żaden.

Otóż nie wydaje się nam, aby słuszność miał Brandys 1947, broniący literatury, której jedynym przedmiotem byłaby analiza psychologiczna jednostki. Nie dlatego, jakoby była to twórczość zła lub bezwartościowa, ale że — zrodzona wśród odmiennej struktury ekonomicznej i kulturalnej, — jest u nas niepotrzebna, że zatem, przeniesiona na nasz grunt, może tylko wydać martwo urodzone płody imitacji. Nie ma jej jednak również Brandys 1949, kiedy — popadając z jednej skrajności w drugą — uczy pisarzy lekceważenia zagadnień artystycznych. Nie ma — pisze Brandys 1949 — warsztatu ponadczasowego; istnieje tylko historycznie określony; ten zaś, którego bronią pisarze (tj. Brandys 1947) to tylko datujący sprzed lat 50 warsztat wykwintnych Bizantyńczyków znad Sekwany.

Samo jednak pojęcie „warsztatu", którym z taką swobodą operuje Brandys, jest dwuznaczne i wymaga bliższego wyjaśnienia: jeśli ma ono być pseudonimem „sztuki dla sztuki", pojętej jako „sztuka dla zabawy", wątpię, czy się znajdzie wśród pisarzy polskich ktokolwiek, kto by się dzisiaj na jego potępienie nie zgodził. Jeśli natomiast ma oznaczać artystyczne rzemiosło (tj. umiejętność budowania zdania, sceny, charakteru itp.) przyznaję, że należę do najgorętszych jego obrońców. Wydaje się dalej, że kolekcja warsztatów, jakie nam — w związku widocznie z własnymi doświadczeniami — daje do wyboru Brandys 1949, jest zbyt uboga. Czyżbyśmy w istocie mieli jedynie wybór między nieistniejącym warsztatem ponadczasowym a przestarzałym, rentiersko - mieszczańskim i czyżby — zważywszy nieużywalność obydwu — należało z wszelkiego „warsztatu" zrezygnować? Nie sądzę, jakoby postulaty „warsztatowe" piśmiennictwa ludowego, jakkolwiek odmienne, miały być mniej rygorystyczne od tamtych i jakoby zrealizować je można było, stosując zalecane przez Brandysa praktyki ascetyczne w rodzaju „wyrzekania się" i „upraszczania", określeń wyłącznie negatywnych i które — z wolą czy bez woli autora — zdradzają jego z lekka pobłażliwy stosunek do tej tak gorąco postulowanej literatury.

Zamiast wielosłownej tedy polemiki z „warsztatem", na którego nadmiar w obecnej sytuacji na pewno nie możemy się uskarżać, należało by podjąć o ileż trudniejszy, ale o ileż bardziej owocny trud określenia reguł nowego „warsztatu", sformułowania, względnie wysnucia z praktyki wielkich pisarzy socjalistycznych nowej epoki, wskazania wreszcie niebezpieczeństw, grożących jej ze strony nowego typu grafomanii, która, towarzysząc nieodstępnie wszelkim kierunkom artystycznym, podpatruje powierzchownie ich postulaty, aby je przez nieumiejętne zastosowanie skompromitować. Należało by w związku z tym rozważyć owe zjawiska literackie, które pretendują jedynie do miana literatury ludowej. Można by stwierdzić przede wszystkim, co literaturą ludową nie jest: że nie jest nią np. historia urządzania sobie życia przez przedstawicieli kierownictwa technicznego, zakończona tryumfalnym akordem: ożenkiem z sekretarką, kupnem półek i awansem służbowym; że nie jest nią ów ciąg zdań czysto stwierdzających, wśród których niesposób znaleźć ani jednej refleksji i które nie komponują się w żadną intelektualną całość; proza bowiem to myśl, wyrażona przez zestawienie zdarzeń; i istocie jej przeczy zarówno rozwlekły komentarz do błahych lub niezaszłych zdarzeń, jak i opis zdarzeń, z których nic — prócz tego, że się zdarzyły — nie wynika. Nie jest wreszcie literaturą ludową zbeletryzowany opis techniczny; nie jakoby nie był on tematem godnym powieści, ale dlatego, że wszelki proces przedmiotowy — czy nim będzie produkcja karmelków czy odbudowa miasta czy trzęsienie ziemi — może być w powieści tylko tłem, na którym albo dzięki któremu rozgrywają się przemiany w ludziach. W literaturze bowiem ludowej — jak i we wszelkiej innej — niezbędny jest konflikt — konflikt ludzki lub międzyludzki — czasem trudny, czasem bolesny, ale nigdy wstydliwy, nigdy godny przemilczenia — konflikt wrastania człowieka — z jakiejkolwiek warstwy; robotnika, chłopa czy inteligenta — w socjalizm.

Jeżeli w dawniejszej literaturze konflikt dramatyczny rodził się ze starć między determinizmem świata (bogami, władzą państwową, obyczajem, przesądem czy interesem grupowym) a swobodą jednostki, to bohater, jakkolwiek pokonany, wychodził z nich nieumniejszony moralnie, męczennik dziejów i zwiastun przyszłości. W epokach, zmierzających ku racjonalizmowi, lecz tkwiących jeszcze w irracjonalizmie (np. V w. prz. Chr.), głosił — wbrew bezsensowi Przeznaczeń — ostateczny triumf rozumu; w okresach przeciwnych (np. romantyzm) — kult uczucia wbrew nakazom rozsądku. Bunt bohatera literackiego był wówczas motorem postępu. Epoka nasza wszelako stworzyła pogląd na świat, który — poprzez zrozumienie i opanowanie determinizmu dziejów — dąży do zlikwidowania sprzeczności między nimi a swobodą jednostki. Konflikty, o których mówiliśmy, zaczynają w niej tracić na sile. Daleko im jednak jeszcze do tego, aby zanikły całkowicie; zmieniają jedynie swój kierunek: bunt jednostki traci swój postępowy charakter i wyradza się w anarchiczną rewoltę, która — w imię swobody własnej — szkodzi wyzwoleniu ogólnemu. Toteż nie towarzyszy mu już sympatia pisarza ani odbiorcy; konflikt z dziejami staje się konfliktem wstecznym, wynikłym już to z opóźnienia wobec rozwoju zdarzeń, z tradycjonalizmu, już to z nadmiernego przyśpieszenia, z pseudorewolucyjności, co zresztą w konsekwencji sprowadza się do tego samego.

Pomijanie tych konfliktów, oparte na milczącym założeniu, jakobyśmy żyli już w społeczeństwie bezklasowym, wydaje mi się właśnie jednym z objawów owego szkodliwego przyśpieszenia; ich pełne i — o ile możliwe — jak najbardziej obiektywne przedstawienie — jednym z najistotniejszych zadań literatury współczesnej. Podobnie bowiem jak właściwością złej publicystyki jest upraszczanie zagadnień, ich niecierpliwe — w pewności z góry przesądzonego wyniku — zbywanie, tak cechą złej prozy — zamiast stawiania problemów — składanie ideowych deklaracji. Autor jednak, który na pierwszej stronie rozwiązał wszystkie zagadnienia tego świata, na pozostałych 399 nie ma już, niestety, wiele do powiedzenia. Pisarz, umiejący posługiwać się poglądem na świat tak szerokim i pełnym jak marksizm może wyłożyć zarówno racje własne, jak i motywy swoich przeciwników; jego super-racja leży wszakże w tym, że nie tylko ich obala, ale ich także genetycznie tłumaczy (co nie znaczy bynajmniej, jakoby ich usprawiedliwiał).

Pogodzenie dydaktyki z obiektywizmem, określonej ideologii z możnością rozumienia i przedstawiania ideologii odmiennych, umiejętność równoczesnego posługiwania się marksizmem jako filozofią dziejów i jako metodą walki klasowej — jest trudnym, ale na pewno wykonalnym zadaniem literatury socjalistycznej. Dla pisarza, obdarzonego ambicją odkrywczą, taki pogląd na świat, który — zamiast zamkniętego systemu twierdzeń — daje metodę myślenia i coraz głębszego opanowywania wciąż poznawanej i nieskończenie poznawalnej rzeczywistości, jest szczególnie sprzyjający. Dzięki niemu literatura odzyskuje (odjętą jej zarówno przez zabawkowość prądów artystycznych ostatnich dziesięcioleci, jak i przez czysto inwentaryzujące opisywactwo naturalistów czy wreszcie przez zdawkową propagandowość) funkcję poznawczą, odzyskuje możność formułowania prawd, nowych, równie odległych— przez to, że są *prawdami* — od paradoksalnych pół- i ćwierć — prawd tak modnych w nowszych kierunkach sztuki europejskiej, jak i — przez to, że są *nowe* — od natrętnego sloganiarstwa. Nie w nieprzepartej skłonności do legitymowania się przy lada okazji hasłem publicystycznym, ale w odkrywczości, ale w odwadze fomułowania nowych zagadnień leży dydaktyczna rola literatury socjalistycznej.

Aby spełnić rolę dydaktyczną, literatura socjalistyczna powinna być zrozumiała: wrogi jest jej wszelki bezsens, wszelkie używanie słów dla osłony niejasnej myśli; wroga również łatwizna i „samo przez się — zrozumialstwo". Aby móc pouczać, trzeba stać wyżej od poziomu pouczanego: Marks ani Majakowski, Słowacki ani Norwid nie pisali dzieł dostępnych przy pobieżnej lekturze. Walka z bezsensem ma odpowiednik w walce z łatwizną i oczyszcza pole dla literatury, choćby i trudnej, lecz sensownej.

Dydaktyzm tej literatury polega przede wszystkim na jej — aktywnym raczej, niż stwierdzającym — optymizmie; ktokolwiek poucza, powinien wierzyć w możliwość doskonalenia, choć niekoniecznie w doskonałość tego, kogo poucza, wierzyć w godność i w postęp człowieczeństwa, lecz niekoniecznie w absolutny błogostan chwili obecnej. Optymizm takiego dzieła wyrażać się będzie raczej poprzez ogólną koncepcję losu ludzkiego, aniżeli poprzez szczęśliwy przebieg losów poszczególnego bohatera. Arcydzieła literatury czasów minionych oraz radzieckiej są optymistyczne, jakkolwiek nie zawsze kończą się happy endem. Optymistyczny bywa i tragizm, jeśli w grę wchodzą wielkie siły, które wywyższają człowieka, gdy go łamią. Ważne jest przede wszystkim to, czy czytelnik wstaje znad książki przejęty wielkością sprawy ludzkiej czy też przygnębiony już to jej beznadziejną pleśnią i stęchlizną, już to jej czczym, frazeologicznym optymizmem.

Ten drugi, szkodliwy rodzaj optymizmu odnajdujemy — by wrócić do naszego punktu wyjścia — w artykule Brandysa: optymizmu statystycznego, gdy rozwoju literatury polskiej dopatruje się we wzroście liczby książek, wymienionych w nagrodzie „Odrodzenia"; optymizmu fałszywego, gdy — uciekając od rzeczywistości w kraj nieokreślonych przyrzeczeń — twierdzi, iż pisarze polscy wyzbyli się w ciągu pięciu lat rozmaitych naleciałości, „jeśli nie w osiągnięciach, to w zamierzeniach"; optymizmu statycznego wreszcie, gdy — zamiast zanalizować konkretną sytuację literatury polskiej — poprzestaje na ogólnikowym stwierdzeniu jej pomyślności, gdyż „od walki ludów o wyzwolenie wieje pomyślny wiatr", który literatura polska powinna „chwycić w swoje żagle". Nie „chwytanie wiatrów" dziejowych jednak, lecz tworzenie dziejów wydaje się nam naturalnym zadaniem wszelkiej literatury. Bierność, zdająca się na samoczynną mechanikę historii, jaką sugeruje to ostatnie sformułowanie, przypomina mi potrosze ową koncepcję losu ludzkiego w „Antygonie" Brandysa, gdzie autor odpowiedzialność za oszustwa i matactwa swego bohatera zrzuca na dzieje, które ponoć go do tego zmusiły. Lecz dzieje nie są automatyczną maszynką, zwalniającą człowieka od działania i odpowiedzialności; ani też krwawe zmagania ludów o wolność — tematem, który by można kwitować przy pomocy byle klasycyzującej przenośni...

Artur Sandauer

KAZIMIERZ WINKLER

Lotniczy List do Londynu

Myślisz pewnie, idąca po murawie Hyde Parku,
że daleka jest droga, jak w piosence angielskiej,
tam do kraju, gdzie oczy zasypuje kurz martwy
i gromady bezdomnych wiecznie z miejsca na miejsce
wloką twarze pobladłe, wykrzywione do buntu,
gdzie wiatr leci przez okna, mija miasta bez ludzi,
gdzie już żadne ramiona nie podniosą Zygmunta
i zwalonych kamienic żadna kielnia nie zbudzi.

Nie pozwolę, by wszystko mgłą przesłonił ci Londyn.
Niech warkotem silnika grają słowa i list ten!
Możesz sobie o naszej, wspólnej gwieździe zapomnieć,
ale musi się odbić w twoich oczach jak w Wiśle
nasze miasto, pokryte złotą blachą i tynkiem,
nowe trasy, biegnące w przyszłość drogą najkrótszą,
słuchaj, miłość kapryśna jak deszcz letni przeminie,
lecz Warszawy, pamiętaj, żadne ciosy nie skruszą!

Dziś na fali wiślanej do mglistego Londynu
wieść nadaję, a sygnał poda spawacz i monter,
że dym w niebo warszawskie z coraz nowych kominów
idzie prosto, jak wróżba na słoneczną pogodę
I kolumna Zygmunta już panuje nad miastem,
wierz mi, wczoraj w południe przechodziłem tuż obok,
nad pałacem Staszica miedź zabłysła i blask ten
jak latarnia otwiera taki dawny, choć Nowy
Świat, ulicę, wdzięk której chciałbym zamknąć w kopertę
i postawić jak bukiet przed twe oczy zielone,
byś Warszawą jak wonią odurzyła się perfum,
żebyś spać już nie mogła, zamyślona wciąż o niej.

Wiele mógłbym ci pisać o tunelu i mostach,
które szybkim asfaltem ponad wodą już biegną,
ale zrozum, czas drogi, zaraz muszę się dostać
do Raszyna, by stawiać wiersz płonący jak cegła
o radiowcach i sławie, zawieszonej na maszcie,
na najwyższej topoli, śpiewającej nad Polską.
Jakże pisać? Ten obraz trzeba z bliska zobaczyć,
gdy fabryki i domy wstają rzędem jak wojska!

To nieprawda! Do kraju droga nie jest daleka,
jeśli serce jak silnik ciągnie naprzód i naprzód!
Zapamiętaj, to lata otworzyły tę przepaść,
że nie słyszysz, choć słuchasz i nie widzisz, choć patrzysz.
Wracaj. Wisły ramiona są szerokie i ciepłe,
łza wzruszenia — nie nowość na warszawskim lotnisku,
miła, resztę o kraju niech opowie ci stempel
w mgłę londyńskiej ironii nadanego dziś listu.

MARIAN MUSZKAT

To także Niemcy

Wrzesień, miesiąc rocznicy wybuchu wojny, zdawałoby się, skłaniać może tylko do refleksji na temat agresji, która spotkała nas ze strony zachodniego sąsiada. Refleksje takie są tym bardziej na czasie, że w toku wyreżyserowanych niedawno przez anglosaskich okupantów wyborów do parlamentu Zachodnich Niemiec rozpętane zostały szowinistyczne, a zwłaszcza antypolskie nastroje. Uwypukliły one jaskrawo, jak żywotnym pozostał jeszcze na zachodzie Niemiec duch hitleryzmu i jaką stanowi w rękach imperialistów amerykańskich groźbę dla pokoju i dla naszych granic. Politycy amerykańscy zmierzają do stworzenia pod swoją hegemonią państwa światowego, nie zadowalając się pozyskaniem dla swych celów tylko dowódców czy handlarzy i producentów broni. Zależy im również na zdobyciu mięsa armatniego, zależy im więc na reaktywowaniu i tych, którzy już umieli zmobilizować masy na służbę Hitlera.

Na powierzchnię życia Niemiec Zachodnich znowu wypływają ludzie, którzy ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie wojenne, choć posługiwali się nie pociskami a piórem, choć nie nosili mundurów i trupich czaszek.

Sądy anglo-amerykańskie czy też pozostające pod ich nadzorem trybunały niemieckie zwalniają ich rzecz jasna od wszelkiej winy i kary i za zasługę poczytują im ich „antybolszewizm".

Dlatego znowu wracają na katedry uczniowie Kaufmana i Zorna, dowodzący „bezprawia" wyroku norymberskiego oraz układów w Jałcie i Poczdamie. Dlatego korzysta z opieki prawnej apologeta zbrodni hitlerowskich, nadworny pisarz narodowo-socjalistycznej kamarylli, Edwin Erich Dwinger, piewca hitlerowskiej „Burzy stalowej" Ernst Jünger, Hans Johst, którego słowami: „gdy słyszę słowo kultura odbezpieczam rewolwer", zachwycał się Goebbels — oraz cały szereg podobnych pismaków. Dlatego znowu wrócił na ekran Weit Harland, który swoim filmem o „Żydzie Süssie" zaszczepiał milionom Niemców przeświadczenie o celowości obozów śmierci — a w redakcjach zasiadają przestępcy ze „Stürmera" i „Völkischer Beobachtera".

A jednak i w Niemczech nie wszystko się dzieje po myśli imperialistów zza oceanu. We wrześniu anno 1949 bowiem coraz mniej Niemców ulega wojennej popagandzie, a coraz więcej dostrzega ogrom katastrofy, do której doprowadził Niemców hitleryzm.

Dzieje się to przede wszystkim w strefie radzieckiej, gdzie proces demokratyzacji osiągnął już poważne wyniki, ale i na zachodzie Niemiec nie brak znaków przełomu.

Najlepszym tego dowodem jest wzrost wpływów partii komunistycznej, która skupiła około półtora miliona wyborców, choć nawołując ich do walki o demokrację i pokój wskazywała równocześnie, że granicą pokoju jest Odra i Nysa.

Stosunek do Polski — mówili w okresie naszej niewoli Marks i Engels — to najlepsze kryterium dla oceny czyjejś demokratyczności. Twierdzenie to jest szczególnie aktualne i dzisiaj, zwłaszcza w Niemczech, gdzie pod hasłem rewizji naszych granic międzynarodowa reakcja mobilizuje wszelkiego rodzaju awanturników wojennych.

Dlatego niezaprzeczalnym dowodem wzrostu obozu pokojowego w Niemczech jest wzmożenie uczuć pokojowych wobec Polski Ludowej. O tym zaś świadczy nie tylko pismo prezydium Niemieckiej Rady Ludowej do premiera Rządu RP Cyrankiewicza w dziesiątą rocznicę napaści na Polskę, zapowiadające zmianę polityki niemieckiej i demonstrujące wolę porozumienia oraz wspólnej z nami walki o trwały pokój, świadczą o tym wypowiedzi nie tylko czołowych niemieckich komunistów i lewicowych socjalistów — ale i bezpartyjnych demokratów i mieszczańskich liberałów, robotników i inteligentów we wszystkich strefach Niemiec, świadczy o tym powstanie „Towarzystwa imienia Helmutha von Gerlacha dla kulturalnej, gospodarczej i politycznej współpracy z Nową Polską" oraz jego pierwsza publikacja, zawierająca pisma wielkiej przyjaciółki Polaków z połowy ubiegłego wieku, Bettiny von Arnim*).

Publikacja ta poprzedzona wstępem prof. Jürgena Kuczyńskiego, i zamknięta posłowiem Ruthy Krenn, pragnie nawiązać do tradycji przyjaźni polsko-niemieckiej.

Każdemu, kto zna dzieje bestialstw krzyżackich, rozbioru Rzeczypospolitej, a potem Hakaty, Wrześni, wozu Drzymały, wreszcie lat okupacji pierwszej wojny światowej i późniejszych hitlerowskich obozów śmierci, sprawa tradycji przyjaźni niemiecko-polskiej może wydać się w najlepszym razie nieporozumieniem. Ale redaktorzy pism Bettiny von Arnim dostrzegają te wsteczne siły, które ponoszą za to odpowiedzialność.

Pragnąc ukształtować stosunki z demokratyczną Polską na zasadach sąsiedzkiej współpracy, uważają, że mogą śmiało sięgnąć do postępowych tradycji swego narodu.

Przypominają więc Wielanda, który potępiał rozbiory, poetę Wernera, autora poematu ku czci kościuszkowskich kosynierów, pisarzy Rebmanna i Vossa, którzy opiewali bojowników naszej niepodległości na progu jej upadku w końcu XVIII wieku, historyka Posselta i publicystę Gentza, którzy potępiali Prusy za udział w rozbiorach Polski.

Przypominają, jak lud niemiecki fetował powstańców z 1831 r., jak udzielał im serdecznej gościny, jak otaczał ich opieką i jakie pieśni składał ku ich czci, pieśni, które pod nazwą „Polenlieder" przeszły do historii literatury niemieckiej. Twórcami ich byli postępowi poeci niemieccy Schubert, Ortleb, Gross, Maltitz, Lenau i Platen.

Zwracają uwagę na rozmowy Goethego z Eckermanem, potępiające tych Niemców, którzy nie udzielali pomocy Polakom. Kreślą sylwetki południowo-niemieckich demokratów Welckera i Rottecka, z których pierwszy postawił na usługi sprawy polskiej swoje „Roczniki Polityczne", a drugi tłumaczył i popularyzował poezje piewcy powstania listopadowego, Nabielaka.

Z zapomnienia wydobywają historiografa Raumera, ucznia Hegla Gansa i bywalców salonu Varnhagen, którzy gorąco bronili praw narodu polskiego do niepodległości. Kładą kres milczeniu urzędowych historyków niemieckich na temat majora Willisena, który dla powstańców polskich pisał porady i pouczenia taktyczne i strategiczne, oraz Dawida Hausemana, który wzywał do walki o wyzwolenie Polski. Wydobywają z archiwów dokumenty o wielkiej manifestacji propolskiej z 1832 r. pod Hambacher Burg, na której niemiecki lud podejmował z entuzjazmem polskich emisariuszy Grzymałę i Zatwarnickiego, oraz o szturmie na słynne więzienie w Moabicie w 15 lat później, kiedy to uwolniono Mierosławskiego, Libelta, Deyksa i innych polskich „buntowników".

Wskazują oni też, jak atakowała pruska reakcja wszystkich wybitnych światłych ludzi ubiegłego wieku — Heinego, Börne, Platena Uhlandą, Herwegha, Lenau'a, Holtei'a, Chamisso i wielu innych — za ich „jeremiady" nad niewolą Polski. Dumni są z tego, że wojskowym przywódcą rewolucji niemieckiej w 1848-1849 r. był Polak Mierosławski, pod którego rozkazami walczył Engels.

Wznowienie przyjaźni niemieckich mas ludowych z Polski pragnęliby oni oprzeć na tradycjach Karola Marksa i Fryderyka Engelsa.

Jakkolwiek realizacja tej przyjaźni w obecnych warunkach niemieckich nie jest łatwa, to jednakże demokracja niemiecka jest już dziś bogatsza w doświadczenie i może się oprzeć o światowy obóz pokoju.

Marian Muszkat

*) Bettina von Arnim und die Polen. Aufbau Verlag Berlin, 1949.

ZOFIA KARCZEWSKA-MARKIEWICZ

PRZYKŁAD ROMAIN ROLLANDA

Z bulwaru Montparnasse, gdzie mienią się w słońcu biało-czerwone pasy kawiarnianych płócien, słychać stłumiony szum samochodów. W sąsiednim pokoju pani Maria Rolland dyktuje list do hinduskich przyjaciół swojego męża, panna Suzel stuka na maszynie. Przewracam powoli kartki notatnika, oprawionego w błękitną tekturę. Maczkiem pisane słowa z trudem układają się w zdania: są to codzienne zapiski Romain Rollanda. Dwudziestoparoletni pisarz zwierzał się swemu notatnikowi z pierwszych chwil radości twórczej i z wielu niepowodzeń, zawodów. Pisał też o wszystkim, co działo się

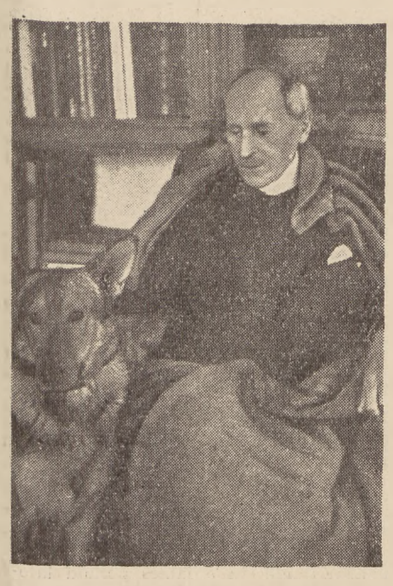

Romain Rolland w roku 1937

wtedy we Francji i w świecie: Paryż żegnający na zawsze Wiktora Hugo pod Łukiem Triumfalnym (...„spośród żyjących pisarzy pozostają mi teraz tylko Daudet i Renan, dla których mam sympatię"..), Paryż stulecia Wielkiej Rewolucji, stawiający wieżę Eiffla („Latarnia wieży Eiffla zabłysnęła ponad chmurami..."), Paryż oklaskujący Sarę Bernhardt („Sara nadużywa śpiewnej, monotonnej deklamacji") — i odkrywający talent Paderewskiego (...„grał znakomicie dwunastą rapsodię Liszta"...), Paryż impresjonistów i sprawy Boulangera. Już w tych młodzieńczych notatkach wyczuwa się niepokój, charakterystyczny dla całego pokolenia, zmorę nowej wojny, grożącej Francji („Od roku 1875 kraj żyje w oczekiwaniu wojny. Od roku 1880 wojna jest pewna, wojna jest bliska").

Na chwilę podnoszę zmęczony wzrok znad rękopisu. Z przeciwległej ściany patrzy na mnie przez okulary Mahatma Gandhi, owinięty białym płótnem. Na fotografii jest jego dedykacja dla pierwszego Europejczyka, który skłonił się przed ideą walczącej o wolność człowieka Azji. Obok druga fotografia: Maksym Gorki uśmiechem żegna Romain Rollanda, opuszczającego Moskwę w roku 1935 po trzytygodniowym pobycie w ZSRR. Dwa migawkowe skróty w rozwoju myśli wielkiego pisarza.

Zbuntowany od pierwszych lat młodości przeciwko swojej epoce, która uwielbiała pieniądz i zamykała artystów w wieży z kości słoniowej, przeszedł Romain Rolland przez różne etapy krystalizacji. Zagłębiał się w studiach nad Wielką Rewolucją, badał życie i dzieła Beethovena, Tołstoja, Michała Anioła. To byli serdeczni towarzysze ciężkiego, przełomowego okresu życia. Potem w „Janie Krzysztofie" zrealizował swój sen o Beethovenie, przeniesionym we współczesność i o braterstwie europejskich ludów.

Wojna światowa była tragicznym rozczarowaniem dla wielkiego bojownika o pokój. Dlatego w rosyjskiej rewolucji październikowej witał świt dobrej woli współżycia między ludźmi. Odtąd już do końca życia ten nieugięty i niezmordowany orędownik pokoju nie przestawał wierzyć, że tylko przez realizację sprawiedliwości społecznej prowadzi droga do trwałego pokoju. Mówił, że świat musi stać się godny pokoju.

W ciągu 78 lat swego życia widział Francję trzykrotnie krwawiącą w wojnach z Niemcami. Każda następna była okrutniejsza od poprzedniej. A jednak — do ostatnich dni dawał przykład optymizmu i energii twórczej, zachował spokój człowieka wierzącego, że zwycięstwo nastąpi:

„Wielkie mieszczaństwa Francji i Anglii, które w latach swej jurnej dojrzałości dokonały rewolucji ostatnich stuleci i które rozsiadły się na gruzach upadłych monarchii, chciały nakazać ludzkości: nie pójdziesz dalej! Ale nic cię nie wstrzyma, ludzkości, będziesz szła ciągle naprzód!".

Na tle pullmanowskiego wagonu rysuje się ostry profil Romain Rollanda. Obok widać wysokie, wybitnie inteligentne czoło jego żony — córki Rosjanina i Francuzki. Utrwalony na fotografii uśmiech pożegnania z Rosją przypomina mi kartki pamiętnika z roku 1887, gdy jako 21-letni student „Ecole Normale" otrzymał odpowiedź na swój list do Lwa Tołstoja. „Le prophète de Yasnaïa Poliana" — jak go nazywa Romain Rolland — objawił mu u progu życia nowe prawdy o powołaniu pisarza, stał się mistrzem w drodze do poszukiwania jego społecznej misji.

Czy Romain Rolland tę misję wypełnił? Odpowiedzią jest mozaika książkowych grzbietów: to tylko część przywiezionych z Vézelay dzieł pisarza, wydanych w kilkudziesięciu językach i narzeczach. Na półkach poukładane teczki, zawierające dziesiątki tysięcy listów — olbrzymią korespondencję z wybitnymi artystami, politykami i społecznikami całego świata. Interesował się każdym ważniejszym zjawiskiem politycznym, czy artystycznym swojej epoki.

Ale pisał też listy do ludzi zwykłych, przeciętnych: do studentów, nauczycieli, czy małych urzędników, którzy nieśmiało prosili znakomitego pisarza o radę w chwilach życiowej rozterki. Romain Rolland nigdy nie pozostawił takich głosów bez odpowiedzi. Pisane szczerze, po bratersku, listy te są godnym najgłębszego szacunku dokumentem jego wielkoduszności i miłości człowieka. (Otrzymawszy w roku 1917 nagrodę Nobla, rozdzielił całą sumę na cele społeczne, głównie na potrzeby Międzynarodowego Czerwonego Krzyża).

Trzypokojowe mieszkanie przy bulwarze Montparnasse było ostatnią paryską przystanią Romain Rollanda. Po latach pobytu w Szwajcarii wrócił w r. 1938 do swej rodzinnej Burgundii i zamieszkał w Vézelay, niedaleko od Clamecy, miejsca swego urodzenia. Pozbawiony w czasie niemieckiej okupacji samochodu, rzadko odwiedzał Paryż. Patrzył wtedy przez okna tego prowizorycznie urządzonego mieszkania na kościół Notre-Dame des Champs i na bulwar, tak silnie związany z jego młodością: na drugim jego końcu, pod numerem 162, w samotnym pokoiku tworzył przed pół wiekiem nieśmiertelne karty swego „Beethovena". Wszystkie mieszkania paryskie miał w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego, na lewym brzegu Sekwany. Często widywano jego wysoką sylwetkę, pochyloną nad skrzynkami bukinistów. Książki były głównym „umeblowaniem" skromnego mieszkanka, nazywanego przez przyjaciół Rollanda celą mnicha.

Nie wiązał się z głośnymi grupami literackimi, nie szukał oparcia w żadnym środowisku wydawniczym, czy teatralnym. Start pisarski miał trudny. Drukując prawie przez dziesięć lat swoje dzieła w „Cahiers de la Quinzaine" (od „Beethovena" aż po ostatnie tomy „Jana Krzysztofa") nie brał żadnego honorarium od redaktora i wydawcy Karola Péguy, który był jego uczniem z czasów profesury w „École Normale" i serdecznym przyjacielem. Péguy ledwie wiązał koniec z końcem i ciągle był zadłużony. Odważny, socjalizujący ton pisma nie zyskiwał mu abonentów w Paryżu pierwszego dziesięciolecia naszego wieku. W środowiskach intelektualnych, szczególnie w kołach Sorbony, miało ono zdecydowanych wrogów. Karola Péguy nazywano wtedy dziwakiem-fantastą.

Prace Romain Rollanda były główną podporą dla czasopisma, zwłaszcza w okresie ukazywania się kolejnych odcinków „Jana Krzysztofa".

Te lata walki o pozycję pisarską, trudne lata krystalizowania się wybitnej osobowości twórczej, charakteryzują dobitnie stosunek Romain Rollanda do pracy pisarza: niezależność sądu, uczciwość i konsekwencja w dążeniu do celu.

Całe jego życie było pielgrzymowaniem do prawdy przez poznawanie różnych filozofii, różnych ustrojów politycznych i społecznych. Był gorliwym czytelnikiem prasy całego świata, szukał zawsze materiałów oryginalnych, docierał do źródeł. Szerokim spojrzeniem ogarniał współczesność. Cierpliwie, uparcie i konsekwentnie szukał tych elementów, które mogłyby ludzi połączyć, które mogłyby wyprowadzić świat z tragicznego kręgu wojen.

Nic więc dziwnego, że gdy w kilka miesięcy po jego śmierci powstało na wiosnę 1945 r. z inicjatywy pani Marii Rolland Towarzystwo Przyjaciół Romain Rollanda, znaleźli się w nim przedstawiciele różnych kierunków ideologicznych. Prezesem został Paul Claudel, kolega Romain Rollanda z ławy szkolnej i serdeczny przyjaciel w ostatnim okresie życia. Poza tym w Zarządzie Głównym są: Louis Aragon, Jean Cassou, Georges Duhamel, Charles Vildrac, Léon Moussinac i kilku innych. Lecz duszą Towarzystwa, nieocenionym łącznikiem pomiędzy gronem przyjaciół Romain Rollanda, rozsianych w całym świecie, jest wdowa po pisarzu, poświęcająca się przy tym pracy nad uporządkowaniem olbrzymiej korespondencji, dużej ilości pism niewydanych, gromadząca skrzętnie jego autografy i wydania dzieł w różnych językach.

Zadaniem Towarzystwa jest ochrona duchowego dziedzictwa autora „Jana Krzysztofa", a jednocześnie praca nad pogłębieniem kulturalnych stosunków Francji z innymi krajami — jako kontynuowanie idei Romain Rollanda. W paryskiej bibliotece Sainte Geneviève zostanie otwarta prawdopodobnie już w ciągu bieżącego roku oddzielna sala, poświęcona Romain Rollandowi. Wdowa po pisarzu przygotowuje fundację, dla której zrzeka się części dochodów z tytułu praw autorskich do wznowień i do dużej ilości niewydanych rękopisów. Te niezwykle interesujące pamiętniki i listy będą ukazywały się regularnie w formie „Cahiers Romain Rolland". Pierwszy tom opublikowany przed kilku miesiącami zawiera młodzieńczą korespondencję Romain Rollanda z Malwidą von Meysenburg, starszą od niego o lat przeszło pięćdziesiąt, niemiecką intelektualistką, która wywarła duży wpływ na kształtowanie się osobowości pisarza. Ostatnio ukazał się tom drugi — korespondencja Romain Rollanda z historykiem sztuki i krytykiem-esseyistą, znakomitym znawcą malarstwa — Ludwikiem Gillet. Ten dialog serdecznych przyjaciół, rozpoczynający się w roku 1897, zawiera niezwykle cenne uwagi na temat muzyki, malarstwa, literatury i teatru; daje szczególnie interesujące informacje o życiu artystycznym Paryża z przełomu dwóch stuleci.

W specjalnej sali bibliotecznej zostaną zgromadzone wszystkie dzieła, rękopisy i dokumenty, dotyczące życia i twórczości Romain Rollanda. Chwilowo znaczna część tych materiałów znajduje się jeszcze w Vézelay — ostatniej jego siedzibie burgundzkiej, gdzie 30 grudnia 1944 r. zakończył życie.

W mieszkaniu pani Rolland koncentrują się dziś nici kontaktów z całym światem. Codziennie nadchodzą listy z najbardziej odległych krajów. Wielka i mocno już sfatygowana kanapa jest ciągle okupowana: „tonął" w niej przez wiele miesięcy Raouf Kamel, Egipcjanin o migdałowych oczach i kędzierzawej czuprynie. Ten przyszły profesor romanistyki na uniwersytecie w Kairze obronił zwycięsko w Sorbonie tezę doktorską, charakteryzującą myśl Romain Rollanda. Australijczyk Artur Lévy napisał również pracę o jego twórczości. Irlandczyk, młody naukowiec z Dublina, John Cruikshank, stypendysta paryskiej „École Normale" bada ewolucję myśli Romain Rollanda. Niedawno zjawił się profesor literatury francuskiej na jednym z uniwersytetów amerykańskich; zajmuje się genezą „Jana Krzysztofa". Coraz częściej również Francuzi piszą dyplomowe prace na temat twórczości Romain Rollanda. Każdy ma inne spojrzenie na tekst literacki, innych szuka w nim potwierdzeń. Krzyżują się rozmaite opinie — jak w tysiącach listów, które przez tyle lat spotykały się na biurku pisarza — ze

Romain Rolland i Maksym Gorki w roku 1935

wschodu i zachodu, z południa i północy.

W wielu krajach Europy, Ameryki, Azji i Afryki powstały już miejscowe Towarzystwa Przyjaciół Romain Rollanda. Drukowany biuletyn przynosi informacje na temat nowych wydawnictw, przekładów, organizowanych imprez. Obejmując swoim zasięgiem prawie całą kulę ziemską, Towarzystwo Przyjaciół Romain Rollanda staje się jak gdyby komórką oficjalnego francuskiego biura kulturalnej współpracy z zagranicą.

Nie jest to organizacja elitarna. Wśród członków spotyka się ludzi z różnych środowisk społecznych. Obok wybitnych pisarzy, intelektualistów są robotnicy, mali urzędnicy, są sklepikarze, nauczyciele ludowi. Pewien paryski wydawca luksusowych książek zauważył przed kilku laty, że młoda dziewczyna, skromnie ubrana, regularnie co miesiąc przychodziła do księgarni i kupowała kosztowne wydania dzieł Romain Rollanda. Była to córka robotnika z paryskiego przedmieścia. Z pasją kompletowała dzieła ulubionego pisarza, odmawiając sobie innych przyjemności. Mademoiselle Suzel Simon jest obecnie sekretarką Towarzystwa i właścicielką godnej pozazdroszczenia kolekcji książek, wśród których znajdują się egzemplarze wydań zupełnie już wyczerpanych.

Lecz obok tego rodzaju dowodów uwielbienia spotyka się we Francji objawy niechęci do Romain Rollanda. Starsze pokolenie jeszcze ciągle jest pod wrażeniem opinii pewnego odłamu prasy francuskiej, która potępiła go podczas wojny światowej za cykl śmiałych, pacyfistycznych artykułów, zatytułowany „Au-dessus de la mêlée". Opublikowane w Szwajcarii artykuły te, pełne humanitarnych akcentów, zostały ówczesnemu społeczeństwu francuskiemu fałszywie przedstawione przez szowinistyczne i skrajnie nacjonalistyczne dzienniki. Francuzi nie mogli poznać w oryginale tych artykułów, gdyż autorowi odmówiono wydrukowania ich we Francji. Niewątpliwie u źródeł animozji były porachunki osobiste niektórych pisarzy z autorem satyry na paryski świat artystyczny (w piątej części „Jana Krzysztofa").

Romain Rollanda usiłowano postawić poza nawias francuskiego życia, zarzucając mu zdradę narodowej sprawy. A przecież artykuły te są bezwzględnym oskarżeniem niemieckiej agresji, głosem człowieka, bolejącego nad barbarzyństwem rozszalałych nacjonalizmów. Niestety niewiele osób przeczytało pełny tekst i przemyślało jego treść. Osad niechęci, wywołany propagandą wrogich Romain Rollandowi środowisk trwa do dziś w niektórych kołach.

Nawet w najcięższych dla siebie chwilach Romain Rolland nigdy nie zrobił żadnego kroku dla odzyskania popularności, dla zjednania sobie przyjaciół. Zawsze gardził łatwymi sukcesami. Był przykładem bezkompromisowości i wierności swoim przekonaniom. Sympatia do ZSRR, szczególnie wyraźna w ostatnim okresie życia, wywołała nową falę krytyki w środowiskach konserwatywnych. Autor artykułów, zebranych w książkach: „Przez rewolucję pokój" i „Piętnaście lat walki" wskazywał drogi, które pozwoliłyby wstrzymać staczanie się świata w przepaść nowej wojny. Nakłady obydwu tych książek zostały jednak skonfiskowane przez cenzurę krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej.

W epilogu książki, zatytułowanej „Przez rewolucję pokój" pisał Romain Rolland (marzec 1935 r.):

„Pokój jest zwycięską próbą państw, które mają czyste sumienie i zdrowy ustrój. ZSRR potrzebuje właśnie pokoju, żeby wykazać swoją rację bytu, potężną prawdę doktryny, która stanowi jego podstawę i żeby wykazać słuszność ofiar, które zasiliły szeroki bieg jego życia społecznego na wieki całe. Wojna jest ucieczką jedynie dla państw bankrutujących, jest ona „ultima ratio" zrujnowanych graczy i desperatów, nieczystą spekulacją paskarzy i aferzystów, którzy jak robactwo prosperują na brudnym cielsku schorzałych monarchii i gnijących demokracji.

Odwołujemy się do wszystkich zdrowych i silnych energii, żeby przeszkodziły zgubnym machinacjom; spiskują one dziś, by na nowo pchnąć narody Zachodu w nieszczęsną awanturę wojenną, która zrujnowałaby całe narody dla korzyści kilku awanturników".

Pisane przed czternastu laty powyższe słowa niestety nie straciły do dziś swej aktualności.

Romain Rolland walczył przez kilkadziesiąt lat z tym wszystkim, co przeżerało duszę francuskiego narodu, co niszczyło jego zdrową energię. Choć był dzieckiem pokolenia klęski, potrafił wykrzesać siły optymizmu i karmić nimi miliony ludzi. W ciągu międzywojennego dwudziestolecia, przeczuwając grożącą katastrofę, organizował kongresy w obronie pokoju, pisał artykuły polityczne, przemawiał, perswadował, pracował ponad siły, żeby odwrócić nieszczęście. Ale widocznie „świat jeszcze nie był godny pokoju"...

Dziś, gdy zamknął się już ostatni rozdział tego wielkiego życia, pochylamy się w uwielbieniu nad bogactwem jego dorobku. Nikt jeszcze nie ujął go w pełną monograficzną syntezę, bo to przerasta możliwości jednego człowieka: krytyka muzyczna, teatr, powieść, polityka, historia — ocena każdej z tych dziedzin działalności pisarskiej Romain Rollanda wymaga specjalnego przygotowania. Książki, które dotychczas napisano o autorze „Jana Krzysztofa", nie oddają w pełni bogactwa jego indywidualności twórczej. To był w równej mierze pisarz i polityk, historyk i artysta, muzyk i poeta, profesor, filozof, publicysta, satyryk i wyjątkowo wrażliwy kronikarz swojej epoki, przeciwko której się buntował.

Romain Rolland i Mahatma Gandhi w roku 1931

Reprezentując swoim życiem Francję całej Trzeciej Republiki, jest nie tylko autorem ogólnie znanego „Jana Krzysztofa", „Colas Breugnona", „Duszy zaczarowanej", „Teatru Rewolucji", „Życiorysów wielkich ludzi"; jest zarazem sumieniem społecznym i politycznym Francji w epoce zamkniętej datami: 1870 i 1944.

Twórczość literacka była dla niego w myśl tołstojowskich założeń tylko uzupełnieniem akcji społecznej, narzędziem walki. Dlatego dzieł Romain Rollanda nie można mierzyć wyłącznie kryteriami estetycznymi, ograniczać się do miarki sprawdzianów formalnych. Byłoby to fałszowaniem prawdy.

Nie jest to wprawdzie literatura nowatorska; teoretykowi form literackich nie daje może tak interesującego i efektownego materiału jak np. powieści Marcela Prousta, czy sztuki Jana Giraudoux. Ale dzieła Romain Rollanda mają wartości bezcenne: obok wysokich zalet artystycznych, obok bezwzględnej szczerości jest w nich moc optymizmu, który umie podźwignąć człowieka z dna cierpienia i nędzy; uczą one wydobywać twórcze siły z najtragiczniejszych przeżyć.

Dlatego dzieła Rollanda przemówiły do setek milionów ludzi na całej kuli ziemskiej. Książki tego artysty, szlachetnego buntownika, a zarazem stoika na tle niespokojnej, znękanej wojnami epoki, stały się wartością uniwersalną. Jest to prawdziwe zwycięstwo pisarza, który pomimo wątłego zdrowia heroicznym wysiłkiem woli mobilizował przez całe życie olbrzymie zasoby energii twórczej, żeby służyć sprawie człowieka.

Zofia Karczewska-Markiewicz

FRANCISZEK FENIKOWSKI

ODBUDOWA KOŚCIOŁA PANNY MARII WE WROCŁAWIU

Na niebie wrzesień lotnym dłutem wiatru
w barok pyzatych świętych i aniołów
kształtuje biało, jesienne obłoki
co odbijają się w srebrzystej rzece
toczącej wody swe jak płynny ołów
i unoszącej ciężkie węglem szkuty
ku dalekiemu, bałtyckiemu morzu.

Piękny to widok, lecz nie stój tu długo
o balustradę nadrzeczną oparty —
czas nasz to Odra, minuty to barki,
czyż ich nie szkoda tracić na patrzenie
jak obłok w kształt się barokowy zmienia?
Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy
innej surowszej chce architektury,
dlatego odejdź znad rzeki przechodniu
i ścieżką trudną wśród gruzów i chwastów
wraz ze mną powróć w śląski wiek dwunasty —

Oto jesteśmy. Spójrz na tym panonie
w romańskim łuku nad czeluścią wejścia
trwa Świętosława żona Włosta z synem.
Kamienne usta milczą, ale gdyby
przemówić mogły tylko polskie słowo
zastąpiłoby kamienny gest dłoni,
którym podaje przez osiem stuleci
kościół — romańskiej wdzięcznej Pannie Marii.

Czas płynie naprzód jak pobliska Odra
i niesie szkuty minut za horyzont,
lecz tu przechodniu wartka rzeka czasu
płynie wzwyż, krzepnie w śmiałe łuki cegieł
i most przerzuca nad ośmiu wiekami...

Popatrz: Wysoko robotnik jak pająk
rozsnuwa nową sieć drewnianych krokwi,
aby w nią schwytać lotny sens historii...
Wnuk kończy dzieło dalekiego dziada,
młoty zliczają czas odnaleziony
i już niedługo dach uwieńczy dzieło
i załopoce czerwienią dachówek
jak gdyby czasu naszego chorągiew.

OBLICZE NOWYCH CHIN W DRZEWORYCIE

Odwet

Wieśniacy ratują zbiory przed żołdakami Czang - Kai - Szeka

Szkoła dla rolników

Wybory w miasteczku

Robotnicy bronią fabryki przed napaścią

NIEDOWARZONY

JAO SUEJIN

przełożył OLGIERD WOJTASIEWICZ

W naszym oddziale partyzanckim rozpowszechnił się zwyczaj używania przezwiska „niedowarzony". Było ono stosowane tak często, że nie ominęło żadnego z nas. Nikt nie troszczył się o to, czy było ono właściwe w danych okolicznościach, podobnie zresztą, jak nikt, mówiąc je, nie miał na myśli nic złego. Sam dźwięk tego słowa sprawiał nam radość, i bez niego nasze życie byłoby szare i puste jak górski krajobraz w zimie.

Choć termin ten był w ciągłym użyciu, pierwotny Niedowarzony opuścił nas już dawno, prosty wieśniak i wspaniały towarzysz w codziennym życiu, zabrany od nas na noszach w stanie całkowitej nieprzytomności. Nie zapomnieliśmy go nigdy. Kapitan przechowywał jego fajkę tak pieczołowicie, jak gdyby to był list od ukochanej, rezerwując sobie wyłączny przywilej palenia tej właśnie fajki, którą Niedowarzony, zanim został ranny, zwykł był trzymać w ustach bez względu na to, czy był w niej tytoń czy nie. Włóczył się po wiosce lub siadał pod drzewem, marszcząc brwi i patrząc gdzieś w przestrzeń, zawsze z fajką w zębach. Co jakiś czas zaciskał wargi i przez nozdrza wypuszczał dwa długie pasma dymu, wędrujące spiralami ku górze.

— Hej, Niedowarzony, jak tam twoja stara? — Gdy ktoś w ten sposób znienacka przerywał mu rozmyślania, odpowiadał, rumieniąc się z lekka:

— Tęsknię do niej. Kapitan nie powiedział mi, gdzie ona jest, ani gdzie jest dziecko.

Kapitan, którego Niedowarzony uważał za wszechwiedzącego, taił przed nim miejsce pobytu jego żony i dziecka prawdopodobnie z obawy, aby nie usiłował się do nich wymknąć. Bywały jednak chwile, gdy Niedowarzony myślał o sprawach innych, niż jego rodzina.

— Patrzcie na te chwasty tutaj, które duszą pole — mówił gderliwie, wzdychając przy tym i zaciągając się głęboko. A potem, gdy smugi dymu wypełzały jeszcze z jego ust i nozdrzy, dodawał:

— Wiecie, gdyby był pokój, to ludzie mogliby żyć i pracować, i nikt by im nie przeszkadzał. Nie widzielibyście wtedy chwastów na polach.

W takich chwilach brał grudkę ziemi, rozcierał ją w palcach i starannie oglądał ciemny proszek, wąchał go, dotykał językiem, lekko kiwał głową i mruczał do siebie: „Doskonała ziemia— bogata w soki".

Niedowarzony zjawił się u nas pewnego zimowego wieczoru, kiedy cały obóz został poruszony wiadomością o ujęciu zdrajcy. Człowiek ten stał z rękami związanymi do tyłu, drżący i szary jak popiół: na głowie miał zniszczoną czapkę futrzaną, za pasem zatkniętą fajkę, a przez ramię przerzucony sierp. Badał go nasz kapitan, trzymając w rękach japońską flagę, znalezioną u zdrajcy. Kapitan był zupełnie opanowany, ale żołnierze wołali: „Patrzcie go! Co za świnia — przebrał się za prostego chłopa! Rozstrzelać go! Nie zasługuje na nic innego!"

Niespodziewanie ktoś kopnął go w nogę, i pojmany człowiek upadł bezwładnie twarzą na ziemię, prosto pod nogi kapitana. Jego widoczna bezradność wzbudziła niesmak u partyzantów, i któryś z nich powiedział: „Kupa łajna!"

Kapitan stał nieporuszony, patrząc badawczo spod krzaczastych brwi, jak gdyby spodziewał się rozwiązać jakąś tajemnicę, ukrytą w sercu zdrajcy.

— Jestem niewinny. Nazywam się Niemy Uang, wszyscy mnie tu znają.

— Czy nie masz innego nazwiska?

— Nie, panie. Mój ojciec nie był uczony, a to on mnie tak nazwał. Zawsze mówił, że ładne imię przynosi nieszczęście.

— Wstań. Jakie jest twoje urzędowe imię?

— Nie mam urzędowego imienia, panie — Uang podniósł się z trudem i odetchnął głęboko. — Mój ojciec mówił, że chłopi nie chodzą do szkoły ani nie pracują w urzędzie, więc nie potrzebują urzędowego imienia.

— No dobrze, a masz jakieś przezwisko?

— Tak, panie, Niedowarzony.

Lewy policzek kapitana zadrgał.

— Co to takiego? Co to znaczy?

— Niedowarzony. Tak mnie nazywają.

Nasi ludzie stracili panowanie nad sobą i wybuchnęli śmiechem, ale kapitan nie był wcale rozbawiony otrzymywanymi odpowiedziami. Zadawał jeńcowi jedno pytanie za drugim — o jego dom, wieś rodzinną, przyczynę, dla której stał się zdrajcą.

— Pochodzę z Uangczuang. Kiedy armia północna przyszła i gwałciła kobiety i zabijała mężczyzn, to wtedy matka Sjaok'ou [1]) — to znaczy moja żona — powiedziała: „Ojcze Sjaok'ou— to znaczy ja — tutaj wszystko zniszczone, i ci chłopi, co nie zginęli, to uciekli stąd, i my lepiej też uciekajmy, choćbyśmy nawet nie mieli po drodze co jeść". No cóż, miała rację, więc zabrałem Sjaok'ou i jego matkę i poszliśmy, i przez dwa dni nie mieliśmy nic w ustach, — ani ryżu ani nawet wody, ale Sjack'ou był głodny i ciągle chwytał wargami jej piersi, ale nic z nich nie wychodziło, więc płakał...

Głowa opadła mu na piersi, a po szorstkich policzkach popłynęły łzy. Kapitan powiedział cichszym głosem:

— Powiedz mi prędko, dlaczego miałeś ze sobą japońską flagę?

— Zaraz powiem, panie. Bo to było tak. Matka Sjaok'ou mówi: „Żyjemy w niedobrych czasach i musimy uważać. Sami możemy umrzeć, ale nie dopuśćmy, żeby nasze dziecko zginęło z głodu". Miała słuszność, prawda, panie? Dziecko przecież nie zrobiło nic złego. Dlaczego miałoby umrzeć z głodu? Matka Sjaok'ou mówi: „Wracaj do wsi, przynieś trochę rzepy, żebyśmy mogli jeszcze trochę przeżyć, to może nam się uda ocalić dziecko". No, to ja poszedłem z powrotem do wsi, nie było więcej niż wiorsta. Ale we wsi byli żołnierze z północnej armii. Strzelali do mnie, i zamiast iść naprzód, to musiałem wrócić, i jak przyszedłem, to Sjaok'ou płakał z głodu...

Przerwał łkając.

— Nie płacz — rzekł kapitan. — Czy dlatego zostałeś zdrajcą ?

— Tylko głupcy są zdrajcami, niech ich diabli wezmą. Jakbym był zdrajcą, tobym poszedł za słońcem pod ziemię, tam gdzie ono zachodzi [2]). Mówiono mi, że flaga mi pomoże, jak spotkam żołnierzy z północnej armii, więc matka Sjaok'ou zrobiła taką małą flagę i dała mi ją na drogę. „Masz to i wracaj prędko", tak mi powiedziała. „No a co będzie, jak żołnierze z Południa mnie z tym zobaczą?" To ona mówi: „Nie bój się. Żołnierze z Południa to nasi rodacy, nie masz się o co martwić". Tak, panie. Jak ja mogę być zdrajcą, kiedy sam przecie jestem Chińczykiem. A tę flagę to zrobiła matka Sjaok'ou i dała mi na drogę.

Popłakiwał, przygryzając wargi, i patrzył na kapitana wystraszonymi oczami.

Kapitan wypytał go jeszcze o różne szczegóły, i stopniowo jego twarz złagodniała. Nie wyglądał już, jak gdyby był z żelaza. Zamierzałem wyjaśnić kapitanowi, że nasi towarzysze przestali już podejrzewać jeńca o zdradę, i że dalsze przesłuchiwanie go byłoby znęcaniem się nad nim, przykrym dla nas wszystkich, — gdy kapitan wreszcie kazał nam zdjąć mu więzy.

rys. Marek Rudnicki

— A teraz uważaj dobrze — ciągnął kapitan. — Nie mieszaj Japończyków z armią północną [3]). To nie jest wojna domowa, tak jak to było dawniej. To jest wojna pomiędzy Chińczykami a japońskimi najeźdźcami. Czy ty to rozumiesz, Niedowarzony?

— Tak, panie. Oczywiście, że rozumiem. Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam.

— No, dobrze. Możesz zostać z nami na kolację, a potem iść po rzepę. Nieprzyjaciel został wyrzucony ze wsi przedwczoraj w nocy. Możesz zatrzymać swoją flagę i w razie czego pokazać ją Japończykom, jeśli ich spotkasz, ale nie wolno ci zdradzić im naszych stanowisk.

Nazajutrz po południu znowu zobaczyłem Niedowarzonego na podwórzu domu, gdzieśmy kwaterowali, a kapitan oznajmił, że Niedowarzony postanowił pozostać z nami i został przyjęty do naszego oddziału. Ucieszyło nas to tak bardzo, że zaczęliśmy śpiewać nasze partyzanckie piosenki. Ale sam Niedowarzony nie okazywał ani specjalnej radości ani przygnębienia, stał spokojnie na uboczu z fajką w zębach.

W nocy spostrzegłem, że leżeliśmy na noclegu blisko siebie, i spytałem:

— Co cię skłoniło do przystąpienia do partyzantów?

— No cóż? Wszyscy wyglądacie mi na porządnych ludzi. — Przerwał, zaciągnął się, i mówił dalej. — Dopóki nie wypędzimy tych diabłów, to nie będziemy mogli orać naszych pól.

Stopniowo przyzwyczajał się do naszego niełatwego życia. Czasami zadawał pytania, dotyczące partyzantów a czasami nawet wypowiadał własne poglądy. Poznał naszą gwarę, nazywanie drogi „pręgą", rzeki „wstążką", księżyca „piecem", i tak dalej. Dodawał do tego swoje krytyczne uwagi:

— Wiele zwykłych słów przynosi nieszczęście. Trzeba ich unikać. Jak się pracuje w polu i nic więcej, to niekoniecznie trzeba być takim ostrożnym, ale jak się ma do czynienia z bronią, jak my teraz....

Nigdy nie zgadzał się całkowicie z naszymi odpowiedziami, że walczymy o sprawę rewolucji i że nie możemy być przesądni. Bronił się wtedy z lekka ironicznymi uwagami: „Jestem tylko prostym chłopem. Nie znam się na tych sprawach".

Pewnego razu powiedziałem mu, że do partyzantów należy się zwracać przez „towarzyszu", nie ma potrzeby używania ich imion.

Potrząsnął głową na znak sprzeciwu i powiedział:

— Tak, Starszy Bracie [4]), ale w mojej wsi zawsze używamy imion na znak szacunku.

— Jesteśmy rewolucjonistami. Mamy nowe obyczaje.

— Tak, tak, nowe obyczaje... Nie rozumiem tych waszych nowości.

— Posłuchaj. Przez „towarzysza" rozumiemy to, że jesteśmy jednym sercem i jednym ciałem. Pomyśl tylko. Jesteśmy tutaj, razem żyjemy i umieramy, walczymy ze wspólnym wrogiem, dzielimy ten sam los. Czyż nie jesteśmy towarzyszami?

— To prawda, Starszy Bracie. Jeżeli jesteśmy jednym sercem i jednym ciałem, to nie ma się czego obawiać.

Tego wieczoru, kiedy się zaczął atak, Niedowarzony lekko poklepał mnie po ramieniu i powiedział cicho: „towarzyszu!", czerwieniąc się przy tym jak dziecko. Po paru minutach trącił mnie łokciem i powtórzył „towarzyszu".

— Boisz się? — spytałem.

— Nie. Raz walczyłem przeciw bandytom...

Szliśmy obok siebie, i słyszałem, jak jego serce wali ze strachu. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

— Kłamiesz. Słyszę, jak ci serce bije.

Zmieszał się wyraźnie, i przez dłuższą chwilę obracał w palcach swoją fajkę.

— Nie, nie boję się. Nie jestem tchórzem. Raz, kiedyśmy walczyli z bandytami, to z początku serce mi skakało, a nogi mi się trzęsły, ale potem się uspokoiłem. Starszy Bracie, ja jestem chłopem, a chłopi boją się tylko urzędników.

Doszliśmy do cmentarza, oddalonego o jakieś dwa kilometry od wsi, zajmowanej przez nieprzyjaciela, i kapitan zażądał, aby dwóch ludzi poszło na ochotnika, jako zwiadowcy. Połowa oddziału miała iść za nimi, a druga miała obejść wieś od tyłu i tam urządzić zasadzkę. Niespodziewanie dla wszystkich Niedowarzony zgłosił się na ochotnika.

— Kapitanie, znam wszystkie „pręgi" w tej okolicy. Chciałbym pierwszy wejść do wsi.

Kapitan nie bardzo wiedział, co zrobić. Zapytał podejrzliwie:

— Czy wiesz, że będziesz musiał się zachowywać tak jak wywiadowca?

— Tak, panie. Robiłem to już dawniej, przeciw bandytom.

Ktoś stojący z tyłu odezwał się: „Nie można go wysyłać. On wszystko popsuje".

Ale kapitan zwrócił się do mnie i rzekł:

— Dobrze. Idź razem z nim i uważaj. Doskonale, lecz musisz być naprawdę bardzo ostrożny — dorzucił w stronę Niedowarzonego.

Ruszyliśmy w drogę jak dwie małpy spuszczone z łańcucha. Słyszeliśmy, jak ktoś z pozostałych wyrażał swoje niezadowolenie, i jak kapitan mówił: „Nie martwcie się. On jest prosty ale bardzo sumienny".

Leżeliśmy o kilkadziesiąt kroków od wsi. We wsi było cicho, jak w grobie, i Niedowarzony szepnął mi do ucha: „Śpią teraz. Poczekaj tutaj..."

Zdjął buty, zatknął je za pas, i pochylając się jak mógł najniżej, poszedł na palcach ku wsi. Minęło jakieś dwadzieścia minut, a Niedowarzony nie dawał żadnego znaku życia. Nagle, na tle urządzenia do nawadniania pól dostrzegłem jakiś cień i usłyszałem odgłos, jak gdyby czegoś upadającego. Kierując broń na niewyraźną, chwiejącą się sylwetkę, spytałem cicho: „Kto tam?"

— To ja, towarzyszu — odpowiedział znajomy głos. — Obce diabły gdzieś sobie poszły, nie zostawiły po sobie nawet cienia.

Podbiegłem ku niemu.

— Czy przepatrzyłeś całą wieś? — spytałem niecierpliwie.

— Każdy dom, każde podwórze. Nie ma ani cienia.

— Więc dlaczego nie dałeś mi znaku?

— Ja... ja... — trącił mnie lekko i wymamrotał: — Nasza krowa potrzebuje sznura. Czy myślisz, że mógłbym go sobie wziąć? Wiesz, dawniej, to można sobie było coś zabrać w takich razach, i to nie było nic złego.

— Jeżeli weźmiesz cośkolwiek — powiedziałem groźnie — to kapitan każe cię rozstrzelać.

Spojrzał na mnie z rozpaczą w oczach, i zaczął zdejmować sznur, który sobie okręcił koło pasa. Dałem umówiony znak i natychmiast rój lampek otoczył wieś, do której nasi towarzysze wbiegli ze wszystkich stron.

— Popatrz, Starszy Bracie — szepnął Niedowarzony przerażonym tonem — zostawiłem ten sznur na miejscu.

W drodze powrotnej szedł koło mnie milczący i zalękniony, jak dziecko, które stłukłszy kubek boi się nagany od matki. Uspokoiłem go, że nie powiem kapitanowi. Odetchnął i wcisnął mi fajkę w rękę. Zaciągając się, zapytałem:

— Czy wiesz, dlaczego nie wolno nam nigdy zabierać rzeczy, należących do innych ludzi?

— Tak. Bo jesteśmy rewolucjonistami. — Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

— Czy to znaczy, że rewolucjonista nigdy nie może poprawić swego losu?

— Rewolucjonista dąży do tego, aby poprawić los wszystkich ludzi, a nie tylko swój własny — starałem się wyjaśnić. — Rewolucjonista musi cierpieć za innych, ale skoro tylko pokój i sprawiedliwość zostaną przywrócone, to wszyscy odniosą z tego korzyść. W końcu miliony ludzi będą żyć i pracować w spokoju, a my sami też będziemy szczęśliwi...

Po tym wydarzeniu stał się bardzo ożywiony i pogodny, pracował z zapałem i rzadko gryzł się rozmyślaniami o żonie i dziecku. Z moją pomocą zaczął się nawet uczyć pisać, po jednym znaku dziennie. Niestety, nauczywszy się ich około trzydziestu, został ranny.

Stało się to w jakąś noc, blado rozjaśnioną mdłym światłem księżyca. Nasza mniej więcej dwudziestoosobowa grupa wyruszyła, aby zniszczyć linię kolejową, odległą o jakieś półtora kilometra od wsi, zajętej przez nieprzyjaciela. Nie mając dynamitu, postanowiliśmy zerwać pewien odcinek toru a później zaatakować znienacka pociąg nieprzyjacielski. Chociaż pracowaliśmy z wielką ostrożnością, nie można było całkowicie stłumić ostrego metalicznego dźwięku, wydawanego chwilami przez rozkręcane szyny i rozchodzącego się donośnie w głębokiej ciszy nocy. Wkrótce znaleźliśmy się pod ogniem nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, który nagle przybrał gwałtowne nasilenie, a po jakichś dziesięciu minutach równie nagle się skończył. Szyny zaczęły drżeć i dźwięczeć. Najwidoczniej zbliżał się nieprzyjacielski pociąg pancerny...

Dowódca naszej grupy, były inżynier kolejowy, był zwierzchnikiem bardzo surowym i wymagającym, — ale jednocześnie zdolnym. Związał razem pewną ilość pocisków eksplodujących, umieścił je pod szynami, i kazał nam oddalić się jak najszybciej. Ukryliśmy się na pobliskim cmentarzu, gdzie Niedowarzony wyjął swoją fajkę i zapalił ją, jak gdyby nie działo się nic godnego uwagi. Dowódca uderzył go kolbą w pośladek. Niedowarzony schował fajkę, ale czuł się dotknięty i zwierzał mi się po cichu: „Dlaczego do diabła miałbym się bać? Przecież kule nie celują we mnie". Potem pociski eksplodujące wybuchły, pociąg pancerny wyskoczył z szyn, i wszędzie dokoła było pełno białego dymu, kurzu i odłamków.

rys. Marek Rudnicki

Sądziliśmy, że jest już po wszystkim i pobiegliśmy w stronę toru. Niedowarzony biegł przede mną, ale nagle upadł, mówiąc: „Jestem trafiony!" Nie zwróciłem na to uwagi i pobiegłem dalej, lecz zanim dotarliśmy do toru, od strony wsi pojawiła się nieprzyjacielska piechota i musieliśmy się wycofać.

Cofając się z powrotem ku cmentarzowi, natknąłem się na Niedowarzonego, który leżał na ziemi ale ciągle strzelał w kierunku nieprzyjaciela. „Czy jesteś ranny? — spytałem. — Czy możesz się ruszyć?" „Moja noga... — poskarżył się. — Nie troszcz się o mnie. Zabiję na pewno niejednego z nich, zanim mnie dostaną". Zarzuciłem go sobie na plecy i pobiegłem dalej, potykając się i padając co pewien czas. Ku mojemu zdziwieniu tętent jakichś galopujących koni, strzelanina, i ciężar jaki niosłem zdawały się jak gdyby w ogóle mnie nie dotyczyć: biegłem i nic mnie nie obchodziło.

Gdy dotarłem do naszych stałych pozycyj, stwierdziłem, że Niedowarzony otrzymał jeszcze drugą ranę — w plecy. Był już wtedy nieprzytomny. Ponieważ jego rany, choć nie śmiertelne, były jednak bardzo ciężkie, postanowiliśmy go przesłać do naszego prowizorycznego szpitala na tyłach. Pamiętam, jak nas opuszczał, leżąc na noszach, w wysokiej gorączce. Majacząc, słabym głosem pokrzykiwał na jakąś upartą krowę...

Jao Süejin
przełożył Olgierd Wojtasiewicz

---

[1]) U chłopów chińskich żona bardzo często zwracając się do męża nazywa go ojcem dziecka, a mąż żonę — matką dziecka. W wymowie imienia Sjaok'ou apostrof (') oznacza przydech.

[2]) Aluzja do flagi japońskiej, przedstawiającej słońce.

[3]) W okresie republiki (od roku 1912) układ sił w wojnach domowych w Chinach był z reguły taki, że część północna walczyła przeciw południowej. Ponieważ w czasie wojny mandżurskiej w 1931-32, a następnie w czasie wojny japońsko-chińskiej, która rozpoczęła się w lecie 1937 i trwała aż do kapitulacji Japonii w sierpniu 1945 (rzecz dzieje się właśnie w czasie tej drugiej wojny) Japończycy nacierali zasadniczo od północy, prości chłopi mogli utożsamiać ich z takimi czy innymi armiami północnymi z okresu wojen domowych.

[4]) Tytuł wyrażający szacunek używany w stosunku do ludzi, których od mówiącego nie dzieli duża różnica stanowiska społecznego.

JERZY BROSZKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

Cóż wiesz o pięknem? Kształtem jest miłość

Cyprian K. Norwid („Promethidion")

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

13

Październik, listopad, grudzień 1827 roku — styczeń, luty, marzec roku następnego były bowiem miesiącami pracy pełnej porywczych pasji, radości, wahań, przezwyciężeń. Oficjalnie — jak przewidywał program Głównej Szkoły Muzyki — jej uczeń winien przede wszystkim wykorzystywać wiedzę nabywaną na czwartkowych lekcjach teoretycznych oraz na wykładach praktycznych (poniedziałki, środy, piątki), czyli winien był poświęcać swe wysiłki problemom kanonu, fugi, orkiestracji, techniki chóralnej, oktetów, septetów, sekstetów, kwintetów, kwartetów, tercetów... Bożeż ty mój — nieszczęście!

Elsner peszył się. Ten, który — jak sądził — z miejsca zdobędzie cały świat szkolarską jeszcze operą, zawodził. W muzycznych umiejętnościach kroju i szycia, którym poświęcał swe wykłady, przodował inni: Nidecki i Dobrzyński. Fryderyk zaś słuchał, kłaniał się i tak chóry, jak orkiestry partaczył — szkolne zadania męczyły spokój profesora, w oczach zaś ucznia — nuda.

Szkolnemu komponowaniu poświęcono godziny popołudniowe, ołówek byle jak biegał po papierze, na marginesach rosły zaś pomysły nie mające żadnego związku z powinnościami słuchacza drugiego roku Szkoły Głównej Muzyki.

A po nocach znowu dźwięczący z salonu fortepian męczi lekki sen pani Justyny. Lewa szuflada sekretarzyka domyka się już z trudem, dziecinne bazgroty poszły precz — pod maminą opiekę do ojcowskiego biurka.

Elsner, któremu Fryderyk daje wgląd do rezultatów owych wieczornych prac, znowu się peszy. Profesorska duma cierpi na tym, że uczeń lekceważy sobie treść i sens wykładów — przyjaźń zaś każe przestrzec przed zbytnią swobodą w obchodzeniu prawideł i reguł. Skądże ta odwaga? skądże ta — nawet — czelność w pomiataniu modulacyjnymi normami, przyjętym sposobem rozwijania melodii i budowania akordów? skądże śmiałość faktury fortepianowej?

Fryderyk zaś, wysłuchawszy z szacunkiem rad doświadczonego artysty, wraca na swoje ścieżki. Pisze, pisze dniami i nocami — przede wszystkim nocami. Nieraz sam świt dopędza go nad klawiaturą. Deszcz wiosenny dudni o tej porze na szybach, a wieży kościoła Św. Krzyża nie ujrzysz zza mgły, mgła osiada na kwaterach okien i spływa leniwymi kroplami. Wschodzące słońce nasyca owe krople wszystkimi kolorami tęczy.

Warto zajrzeć do lewej szuflady Fryderykowego biurka. W bałaganie skryptów, szkiców, notat, skreśleń odszukasz tytuły: Mazurek a-moll, Mazurek A-dur, Polonez, Nokturn, dwa Walce — potem grubsze składy kart: rondo à la Mazur, zaczęte rondo à la Krakowiak, Polonez na fortepian i wiolonczelę. Są tu nawet kompozycje inspirowane przez mistrza Elsnera — Sonata i niewykończone jeszcze (jak i sonata) obszerne dzieło na fortepian i orkiestrę. Elsner przeglądając te karty nie wie, czy ulec podziwowi, który narasta w gardle wzruszeniem, czy też dopuścić do głosu ostry, nagły gniew. Karty są dość nieporządne, pomięte, pokreślone, nad niektórymi fragmentami trzeba dobrze się biedzić, nim odczytasz pajęcze, szybko kreślone znaki. Elsner długo milczy, nim padną pierwsze słowa oceny.

My oddajemy jednak głos komu innemu. Odezwie się on dopiero za kilka lat, lecz mówić będzie właśnie o kartach, które już dziś leżą przed nami. Będzie to głos Roberta Schumanna — romantycznego kompozytora, który w swych krytykach jest nie tylko kompozytorem i najbystrzejszym znawcą, lecz i porywczym, entuzjastycznym poetą. Czytajmy uważnie:

„Przed chwilą wszedł do pokoju Euzebiusz. — Znasz jego nieco kpiący uśmiech, którym stara się wzbudzić cudzą ciekawość. Siedziałem wtedy przy fortepianie wraz z Florestanem — Florestan należy do tych artystów, których wzrok przenika przyszłość i nieomylnie ocenia to, co prawdziwie nowe i wielkie. I oto czekała go dziś niespodzianka.

— Czapki z głów, panowie! — zawołał Euzebiusz. — Oto geniusz!

Rozłożył przed nami jakiś utwór muzyczny, tak jednak, byśmy nie mogli odczytać karty tytułowej.

Przerzucałem kartki zeszytu — takie nieme muzykowanie ma w sobie coś czarującego. Wydaje mi się bowiem, że każdy kompozytor ma swój własny sposób grupowania nut dla oka: przecież Beethoven inaczej wygląda na papierze niż Mozart — podobnie jak proza Jana Pawła Richtera ma inny rysunek, niż proza Goethego.

Patrząc na rozłożone przed naszymi oczami karty, miałem uczucie jakby spoglądały z nich na mnie obce mi źrenice — oczy kwiatów, oczy pawie, oczy dziewczęce: w niektórych miejscach rysunek rozjaśniał się nagle: mogłem sądzić, że widzę mozartowskie „La ci darem la mano" wijące się przez setkę akordów, że oto mruga na mnie Leporello i że Don Juan przebiega przede mną, trzepocząc białym płaszczem.

— Graj więc — rzekł Florestan.

Słuchając gry Euzebiusza usiedliśmy w niszy okiennej — on zaś grał jak w natchnieniu... entuzjazm obudzony tą muzyką ożywiał jego dłonie i palce ponad zwykłą miarę. Florestan uśmiechał się ze wzruszeniem — potem rzekł, że wariacje te mogłyby być dziełem Beethovena lub Schuberta, gdyby ci dwaj umieli pojąć duszę fortepianu...

Spojrzawszy zaś na kartę tytułową odczytał w głos tylko te słowa: La ci darem la mano — varié pour pianoforte par Frédéric Chopin.

O oklaskach z morałem i o improwizacji

Maurycy mówiąc „my" i patrząc w twarze swych przyjaciół zakładał dłonie na piersiach gestem niezwykle dumnym. Była to duma walczącej i pewnej zwycięstwa idei. Ale należy ową dumę też nieco uczłowieczyć — należy dodać, że ci chłopcy mówiąc „my", mówili nie tylko o romantyczności, lecz i o sobie. Romantyczność pasowała ich na lirycznych kochanków — to prawda. Pasowała ich jednak przede wszystkim na młodych bohaterów walczących o nową europejską epokę. Wierząc w zwycięstwo musieli wierzyć w siebie — ufać nie tylko swej dzielności, lecz i swym talentom. Nie należy tego kryć, że ufali sobie. Byli członkami sprzysiężenia Młodzieńczej Pychy!

Młodzieńcze poznawanie świata i młodzieńcze wymierzanie mu sprawiedliwości zawsze tworzy sprzysiężenia, którym należy nadać podobną nazwę. Po latach wspomnienie takich chwil nasyci się mądrą goryczą skromności — wtedy jednak żaden z nich nie chciał myśleć o latach, które nadejdą bez dumy i pychy.

Mowa tu o sprawach tajnych. Między przyjaciółmi rzadko padały słowa dające jawne świadectwo łączącym ich myślom. Wiedzieli jednak dobrze, co sądzić o spojrzeniu, uśmiechu i geście — tak, jak masoni poznawali braci po jakichś

przytyczkach i kruczkach, tak oni rozpoznawali wspólne sobie uczucia w swych własnych uśmiechach, spojrzeniach, gestach.

Najmniej krył się ze swą odwagą Maurycy. Maurycy poniósł już raz bardzo gorzką porażkę — przegrał walkę nie tylko z Nowosilcowem, lecz i z własną słabością. Zapomniano mu ową klęskę. On jednak nie zapomniał o niej — pamięć dziecięcego jeszcze, skrytego tchórzostwa chciał zatrzeć jawną pychą młodzieńczej odwagi.

Fryderyk zaś bardzo dokładnie chował przed światem swoje myśli. Ojciec — uczeń racjonalizmu — dawał swym zachowaniem przykład rozumnej oschłości uczynków. Poza tym, jako pedagog i wychowawca uczył skrytości. Ona to była jedną z naczelnych zasad wzorowej edukacji nie tyle na pensji profesora Chopin, ile w rodzinie Mikołaja Chopin, który wychowywał swego jedynego syna z myślą o zaszczytach i karierach.

Fryderyk zresztą nie musiał — jak Maurycy — walczyć ze złymi wspomnieniami i wrogością przeciwników. Maurycy miał przeciwników na tysiące — Fryderyk na dziesiątki. Maurycy obrażał w oczy nawet przyjaciół — Fryderyk nawet dla wrogów miał uśmiech: słodki jak lukrecja, podszyty goryczą lub pogardą, ale uśmiech. Nagłe, ostre wybuchy gniewu działy się przede wszystkim w samotności — znali je tylko najbliżsi: Fryderyk był chowany na człowieka o umyśle dyplomaty — dyplomacja czasów Talleyranda i Metternicha zaczynała się kłamstwem a kończyła obłudą. Pan Mikołaj nie uczył syna kłamstw, ani obłudy — nauczył jednak tajności wzruszeń.

Na koniec Fryderyk miał już za sobą dziesięć lat zachwytów i zaszczytów. Lata nieszczęśliwej miłości do muzyki także. Toteż lepiej niż tamci wszyscy znał gorycz bezradności, wahań i niespełnionych zamierzeń — aż za dobrze wiedział, że po twórczej odwadze przychodzi pora na lęk i tchórzostwo.

Oto wyliczono powody, dla których Fryderyk nie broniąc się przed dumą i pychą bronił się przed ich jawnością. Wiadomo jednak, że takich wzruszeń i uczuć nie nosi się w sercu bezkarnie. Tym bardziej, że młodość sprzymierza się z nimi aż nadto gorliwie.

Pora jeszcze na kilka uwag ubocznych. Na przykład o lustrach w domu Chopinów. Trzeba pamiętać, że w domu były dwie młode panny oraz ceniący wytworność stroju profesor. Fryderyka zaś, tak często proszonego do najgodniejszych salonów stolicy, czesano przed lustrem, strojono przed lustrem, dziesiątki razy poprawiano przed nim koronkowe kołnierzyki i aksamitne bluzki — nic dziwnego, że przyzwyczaił się do lustra. Lustro zaś uczy kokieterii.

Dalej proszę wspomnieć ogród Botaniki, wierszyk zaczynający się od słów: „L'amour et moi...", oraz portrecik panny de Moriolles. Profesora mogło irytować strojenie i wystawanie przed lustrem, gdy domyślał się, że chodzi tu o jakieś romansowe eskapady. Mimo to milczał — był zdania, że dbałość o wygląd nawet nadmierna, nawet wynikająca z babskiej próżności, przyda się synowi w drodze na hrabiowskie i książęce salony.

Wspomniano tu już także o wierszach do Maryli, o Maryli i przez Marylę. Odbierały spokój. Tym bardziej, że w staroświeckiej feudalnej Polsce kobieta od baronowej w górę od wielu już lat była boginią, a od burgrabianki w górę ideałem — i nawet kupczykowie mieli swe przedmioty ubóstwienia. Niedawne, rzewne mody na los Heloizy — dzisiejsze, romantyczne wzory kochanek — jakże się oprzeć myślom o boginiach i ideałach? Fryderyk bywał w domach, w których oczy niebieskie, oczy zielone, czarne i fiołkowe lśniły piękniej niż klejnoty — oto oczy kobiet, które płaczą rzadko. Nic nie mąciło ich blasku, — mogło się wydawać, że w każdej takiej parze źrenic lada chwila, lada moment ujrzysz źrenice swojej Maryli. Dlatego też wychodząc w miasto warto było stanąć przed lustrem, by spytać je, czy starczy ci urody na spojrzenie tej, którą możesz dziś spotkać. Wracając zaś stawało się przed nim, by zbadać, czy starczyło ci wdzięku na pamięć tej, którą może już spotkałeś.

Tak to, takimi to sposobami hodowano drobną, nie babską, lecz ludzką próżność. W domu było dużo luster, a w mieście dużo pięknych dziewcząt. Poza tym niech nikt nie zapomina o nagrodach, brylantowych pierścieniach, zachwytach krytyków, o princessach, powozach, kwiatach, koncertach — przecież od dziesięciu lat na siłę niemal wmuszano weń szacunek dla swych talentów. Były to lekcje dumy podrzędnej — dumy dość maleńkiego formatu: prywatnej i w ten sposób pokojowej, jak pokojowymi bywają pieski.

Tym więc sposobem, gdy pora przyszła na wybuch całej wielkiej sprawy pod tytułem „Na Miodowej nowy świat", ziarno młodzieńczej pychy padło na grunt już nieco uprawiany. Jakie da owoce?

Fryderyk zna złe chwile niedołężnych prób i poczucia własnej małości wobec mistrzów. Nie urośnie zatem we własnych oczach do rozmiarów śmiesznie wielkich. Ale nawet za najczystszą chęcią tworzenia nowej sztuki i nowej epoki skryją się też myśli inne: o europejskiej sławie, o powodzeniu, o pięknym życiu, o zachwycie, który ożywi spojrzenia oczu niebieskich i czarnych — a dalej: o finansach, kabrioletach, o ośmiu angielskim stylem skrojonych frakach i portretach robionych przez najmodniejszych malarzów czy rysowników.

Od dawna zresztą można by przeprowadzić podział myśli, marzeń i planów. Część z nich snuje Fryderyk Chopin — kompozytor. Inne zaś snuje Fryderyk Chopin—pierwszy pianista stolicy.

Nie jest to zaś tytuł, który mógłby zawrócić w głowie młodzieńcowi porwanemu twórczą pasją. Warszawa ma pałace paryskie, ale opłotki berdyczowskie — pierwszy pianista Warszawy, to jeszcze trochę mało.

Na zachodzie i południu Europy sale koncertowe huczą entuzjazmem setek słuchaczy wpatrzonych w postaci Paganinich, Lipińskich, Fieldów, Kalkbrennerów, Hummlów... Jeszcze sto lat temu muzycznych gwiazdorów oklaskiwali tylko gospodarze i goście muzycznych sal w królewskich lub książęcych pałacach. Dziś jednak słuchać muzyki chcą nie setki, lecz tysiące — a więc nie tylko książę Malborough i baron Nucingen, ale także ich administratorzy, buchalterzy, dostawcy— nawet fryzjerzy i krawcy! Ludzie, którzy na salony tamtych nie dostaną się nigdy.

Odbyła się zatem cicha licytacja. I oto okazało się, że książę Esterhazy nie potrafi zapłacić za koncert w swym salonie tyle dukatów, ile zapłaci czterystu nietytułowanych kupców, guwernerów i urzędników za koncert w sali, do której dostać się można nie za tytuł, lecz za pieniądze.

Odbyła się także licytacja innego jeszcze rodzaju — licytacja szacunku.

Książe Esterhazy kupował sobie muzykanta — witał go mniej lub więcej łaskawie i wiedział dobrze, słuchając sonat Mozarta, że ileśset lat książęcego tytułu i majątku znaczy więcej niż tysiące genialnych taktów. Nowi zaś słuchacze supłali mizerne grosze na bilet, wiedząc że każdy z nich to tylko cząstka wielkiego audytorium, dla którego koncertuje jeden sławny artysta. Równość stanu pozwalała im docenić wielkość talentu. Nastały więc czasy, w których coraz częściej ci, co kupowali sobie koncertantów, musieli kupować bilety podobne biletom ich dostawców i krawców. Nastały też czasy sławy i wielkości artysty, niezależnego od humorów diuka lub princa.

Pierwszy pianista Warszawy Berdyczowem podszytej nie wie jeszcze, co prawdziwa sława. W stolicy Królestwa mimo wszystko ostrogi artysty zdobywa się na strojnych i strojących fochy salonach — sala koncertowa jest niewielka i nie bardzo czujna na prawdziwą sztukę. Szacunek, moda, ukłony i rewerencje wystarczą pani Justynie i cieszą pana Mikołaja. Tak — rodzicom, Żywnemu i przyjaciołom domu łaskawe uznanie księcia Radziwiłła idzie do głowy niby burgund.

Ale: „łaskawe uznanie" dla pierwszego pianisty stolicy? Mało! Przy dwu stolikach w kącie „Dziurki" padają słowa takie jak: epoka, wielkość i sława.

Więc jeśli Fryderyk-kompozytor z pasją myśli o walce przeciw starej epoce i zwycięskim tworzeniu

nowej, to Fryderyk-pianista musi myśleć o sławie, której echo oddadzą wszystkie cztery strony świata! Estrady Paryża, Mediolanu, Lipska i Wiednia — oto miejsce triumfów Paganinich i Hummlów. A więc tędy droga!

Gdy idzie się pod jesienny, szeroki wiatr, poły peleryn trzepoczą u ramion, niczem skrzydła. Noc jak z tragedii — chmury biegną nisko, brzegi ich srebrzy światło młodego księżyca. Gdy idzie się pod taki właśnie wiatr, krok staje się mocny i szybki a w piersiach rośnie duma: cóż mi tam noc i wiatr!

O tej porze Miodowa jest pusta — trzepot drzew i peleryn, szybkie kroki i wysoki głos Fontany niosą się daleko.

— Hummel? Hummel!? Hummel znaczy dla mnie mniej niż ty. Dwa, trzy, pięć razy mniej niż ty! — Jul Fontana przystaje, by uderzyć Fryderyka w ramię — Pojmujesz?

Wywód Jula jest prosty: Hummla znają Paryże i Wiednie. Dlatego sława jego błyszczy niczem gwiazda. Ale Jul — jakem Fontana! — Jul jest pewien, że gdyby Paryże i Londyny usłyszały grę Fryderyka, sławy Hummla czy Fielda zgasłyby przy nowej gwieździe tak łatwo, jak gasną świeczki w blasku wspaniałego komety. Mieli przecież możność sprawdzić własnymi uszami — wielki, jenialny Hummel odwiedził Warszawę, dał koncert, przyjął pana Chopina, wysłuchał go, chwalił, jak chwalił! Przyjaciele po owym koncercie zgodnym chórem orzekli, że Fryderyk nie ustępuje sławnemu w całym świecie mistrzowi ani na krok. Jeden Maurycy milczał — ale Maurycy do pochwał nigdy nie był skory. Za to inni? Rano, wieczór, we dnie, w nocy...

Teraz jest noc — Fryderyk wraca z Fontaną od Elsnerów. Zaczęło się od rozmowy na temat pani Szymanowskiej, o której tak pięknie pisał Maurycy, że „gra jej w rzeczy samej, pod pewnym względem stanowi epokę; tej sławy nikt jej nie zaprzeczy; bo jak czytaliśmy w dziennikach zagranicznych przyznał jej to sam Hummel, i najznakomitsi ze szkoły Klementego mistrzowie". Ale Elsner bardzo nie lubił Maurycego i gdy Fontana wspomniał ową recenzję, maestro obruszył się bardzo. Primo — rzekł złośliwie — pan Mochnacki żaden autorytet. Secundo — ani nas dzienniki zagraniczne, ani Hummel, ani klementyści obchodzić nie powinni. Hummlów mamy między sobą! — oświadczył gromkim głosem. Wszyscy umilkli. Fryderyk zaczerwienił się, potem zbladł: Elsner po raz pierwszy poparł swym autorytetem opinie łatwowiernych przyjaciół. Zapomniano o pani Szymanowskiej, o Hummlu — zaczęła się rozmowa o Fryderyku. Wpierw słuchał jej cierpliwie, potem próbował zmienić temat dyskusji — w końcu uciekł niby szczęśliwy, niby zły. Po drodze Fontana znowu swoje „w kółko Fryderyku". Musiał go zwymyślać, że głupstwa gada. Ale i tak wiadomo było, że trudno będzie usnąć tej nocy.

Już rok i sześć miesięcy minęło od występów Hummla, a Fryderyk po dziś dzień nie może zapomnieć oklasków, które mu dała Warszawa. Zazwyczaj podczas koncertów pomniejszych fortepianistów patrzono na pana Fryderyka z porozumiewawczymi lub pochlebnymi uśmiechami. Tym razem zapomniano o „pierwszym pianiście stolicy" — na sali był tylko Hummel. Dopiero potem przyjaciele rozpoczęli swą ofensywę i swe porównania. Fryderyk gniewał się na nie i złościł. Czy szczerze?

Otóż nie — kłamstwo i nieprawda! Owe gniewy są głównie wynikiem starannej edukacji, a ściślej: towarzyskiej skromności. W rozmowie z sobą samym Fryderyk zapomina o fałszywych względach i urzędach. Wtedy uznaje w Hummlu rywala — a raczej widzi w sobie rywala Hummlów, Fieldów czy Kalkbrennerów. Z Paryża idą wieści o triumfach nowych nazwisk: Liszta, Herza, Hellera — w rozmowach z sobą samym Fryderyk wie, że nie ulęknie się blasku ich sławy. Przyjdzie pora, w której stanie do walki, jak równy z równymi i od tej decyzji nie ma dziś apelacji.

Wieczorami, przed snem, życie jest łatwe, piękne, usłane różami. Myśli się więc o przyszłości. Tematów tysiące: pomińmy już ów najważniejszy i najbliższy sercu — komponowanie. Tu zawsze wiadomo, że życie nie jest zbyt łatwe, ani zbyt proste. Natomiast inne sprawy nie zmuszają do skromności, nie wymagają solennego szacunku. Łatwo wtedy wymarzyć sobie Lottę, Amalię lub Marylę tak piękną w swej miłości, że nie opisze jej żadna poezja. Łatwo wymyślić sobie zaszczyty, którymi świat obsypie słynnego artystę — Fryderyka Chopina. Po koncertach najpiękniejsze kobiety przesyłać mu będą najpiękniejsze kwiaty. O jego łaski zabiegać będą książęta i ministry — świat, ich świat zapomni o małym nazwisku Chopinów wobec nazwiska wielkiego Chopina. Największe sale koncertowe Europy zadrżą od burzy oklasków wybuchającej na widok młodego człowieka o miernym wzroście, o ciemnych, nieco rudawych włosach, piwnych oczach i dużym nosie — ów młody człowiek nie jest pięknością, kobiety jednak nie oderwą oczu wzroku. Wchodząc na estradę będzie się kłaniał dbale, lecz bardzo powściągliwie — może nawet trochę niedbale. Z lekkim uśmiechem, z przymrużonymi powiekami...

Jakże mogą wyglądać owe wspaniałe sale Europy? Piękniej niż warszawska — to pewne. Tysiąc świec w stu świecznikach — ileż blasku odbiją złocone lustra. Gdy wybuchną brawa, świeczniki poczną lekko drżeć, płomyki zatańczą drobny taniec. Koncertant wstanie — i choć tysiące dłoni będzie chwalić go oklaskiem — odda ukłon jednemu tylko spojrzeniu. Potem kwiaty, kwiaty i szarfy, szarfy i ordery...

(Dalszy ciąg nastąpi)

WITOLD RUDZIŃSKI

SPRAWA DLA KULTURY MUZYCZNEJ NAJWAŻNIEJSZA

Jest smutnym paradoksem, że Rok Chopinowski, pierwszy naprawdę dobry rok upowszechnienia muzyki, gdy miesięcznie odbywają się w Polsce setki koncertów, poświęconych twórczości Chopina, gdy po raz pierwszy w dziejach Polski odbyła się tak potężna i twórcza manifestacja jak Festival Polskiej Muzyki Ludowej — jest równocześnie najgorszym rokiem w zakresie nauczania „muzyki i śpiewu" w szkolnictwie ogólnokształcącym.

Muzycy uważali lata przedwojenne za najgorsze, jeżeli idzie o kulturę muzyczną w szkole ogólnokształcącej. W szkołach podstawowych w klasach od I—VII przeznaczono na śpiew 14 godzin tygodniowo (podaję cyfry łączne dla wszystkich klas i mówię stale o ilości godzin tygodniowo), na chór — 1, w gimnazjum — śpiew (o ile uczeń nie wybrał rysunków) — 8 godzin, w liceum śpiewu nie było wcale, chór w gimnazjum i liceum był przedmiotem nieobowiązkowym. Już sam fakt wybierania pomiędzy dwoma tak ważnymi dla ogólnej kultury przedmiotami jak śpiew i rysunki świadczy o jakimś zasadniczym nieporozumieniu. Wydawałoby się, że po wojnie, w dobie upowszechnienia wartości kulturalnych, w okresie, w którym kultura narodowa ma się stać własnością mas — sytuacja ta ulegnie radykalnej zmianie. Pierwszym krokiem było oddzielenie spraw kultury od oświaty, która dotąd traktowała kulturę, jako coś ubocznego. Istotnie, Ministerstwo Kultury i Sztuki, cokolwiekby się o nim w okresie ostatnich lat mawiało — w zakresie upowszechnienia muzyki zrobiło bardzo dużo. Ustaliło byt kilku oper — w Warszawie, Poznaniu, Bytomiu i Wrocławiu, zakłada nową scenę operową na Wybrzeżu, utrzymało i rozwinęło wiele filharmonii i orkiestr symfonicznych (Warszawa, Kraków, Poznań, Katowice, Wrocław, Wybrzeże, Szczecin, Łódź, Bydgoszcz, Lublin, Kielce, Częstochowa itd.), utworzyło sieć szkół muzycznych, które szybko podwoiły liczbę swoich uczniów (z 11.500 przed wojną na przeszło 23.000 w chwili obecnej). Akcja objazdowa coraz bardziej się rozwija, obejmuje ona już nie tylko koncerty — recitale, ale imprezy na wczasach, liczne kursy umuzykalniające w zakładach pracy, opiekę nad ruchem amatorskim. Niektóre eksperymenty, u nas dotąd nieznane, jak opieka nad twórczością muzyczną, opieka pedagogiczna nad kandydatami na konkurs chopinowski — przyniosły nieoczekiwane rezultaty i wiele nas nauczyły. Niestety, sprawa nauczania myzyki w szkołach ogólnokształcących pozostawiona w ręku władz oświatowych — stała się tam kopciuszkiem, traktowanym z roku na rok gorzej. Oto fakty. W r. 1939 w szkole powszechnej (dzisiejsze klasy I—VII szkoły podstawowej) program przewidywał 14 godzin śpiewu tygodniowo — dziś tylko 7, chóru nie ma wcale. A pamiętajmy, że w latach przedwojennych ta dziedzina była bardzo zaniedbana. Nie lepiej rzecz się ma z innymi przedmiotami artystycznymi — liczba godzin nauki rysunku spadła z 13 na 4, prac ręcznych z 25 na 7 itd., — w klasach VIII—IX w 1939 r. program przewidywał 8 godzin śpiewu, dziś w klasach tych nie ma go wcale! W liceach dla wychowawczyń przedszkola, gdzie muzyka odgrywa dużą rolę, „śpiew" spadł z 12 godzin na 9 „muzyka" z 8 — stała się nadobowiązkowa. Jedynie pozorne zwiększenie nastąpiło w liceach pedagogicznych, bo z 6 ilość godzin śpiewu skoczyła na 9, z tym jednak, że godziny te obejmują również i metodykę i chór. Zamieszczona pod artykułem tabelka przedstawi katastrofalną sytuację w dziedzinie przedmiotów artystycznych.

Zanim zastanowimy się, jakie są skutki tak pomyślanej siatki godzin przypomnijmy w paru słowach, jak ta sprawa jest traktowana przez inne państwa. Szkolnictwo Związku Radzieckiego wypuszcza uczniów, dla których czytanie nut nie stanowi żadnej trudności i którzy czynnie pracują w amatorskich kółkach muzycznych. Szkoły angielskie dają bardzo solidne wykształcenie techniczne, ze szczególnym naciskiem na zespołowe słuchanie muzyki. Francja znów specjalizuje swoich uczniów w biegłym czytaniu nut i dobrze opanowanych wiadomościach teoretycznych. Słowem wszędzie ta sprawa jest należycie uwzględniana w programach szkolnych. Rezultaty likwidacji muzyki w szkole ogólnokształcącej u nas nie każą na siebie długo czekać. Za dziesięć lat nie tylko trudno będzie mówić o Bachu czy Beethovenie, ale mało kto będzie dobrze wiedział, kim był Chopin. Bo rozumienie muzyki wymaga stałego wprowadzania w te zagadnienia, **wychowania** od zarania poczucia estetycznego, uczenia czynnego stosunku do sztuki.

Przy tym stanie rzeczy, za parę lat może dojść do sytuacji, że poziom naszych doskonałych ekip koncertujących, świetnych zespołów ludowych, zacznie w zastraszający sposób spadać. Im wyższy poziom upowszechnienia sportu — tym lepsi zawodnicy w poszczególnych konkurencjach — im wyższy poziom umuzykalnienia — tym lepsze wyniki i w dziedzinie twórczości i w dziedzinie kompozycji. Nie zapominajmy przecież, że jesteśmy narodem niezwykle uzdolnionym do muzyki, że spośród nas wyszedł Chopin, Moniuszko, Paderewski, Szymanowski, że Polacy są w całym świecie uważani za naród pianistów i dyrygentów. Nie zapominajmy również o tym, że ilekroć w naszej historii poważnie traktowano sprawy kształcenia artystycznego — tylekroć dawało to najlepsze rezultaty.

Podziwiamy wysiłki, z jakimi nasze władze oświatowe przeprowadzają walkę z analfabetyzmem, albo staranie o pełne, powszechne nauczanie — dlatego wierzymy, że sprawy wychowania artystycznego przybiorą dla polskiej kultury lepszy obrót. Argument, że najpierw trzeba odrobić inne, niezmiernie ważne zaległości — nie ma tu znaczenia. Nie likwidujemy nauki arytmetyki tylko dlatego, że są jeszcze miliony ludzi niepiśmiennych, a właśnie człowiek niepiśmienny przez sztukę — plastykę czy muzykę — najłatwiej dochodzi do kultury. Wtedy, gdy wszystkie działy nauki skierowane są na zadanie wychowania nowego, społecznie pełnowartościowego człowieka — nie można zapominać o wielkiej wychowawczej roli muzyki dla kultury ogólnej. Nowy człowiek — to człowiek pełny, nie okaleczony, wszystko rozumiejący, światły, dobrze widzący i dobrze słyszący. Jakże ten człowiek, pozbawiony wprowadzenia w sprawy sztuki, ma wywrzeć swoje piętno na nowej sztuce!

Za ten negatywny stosunek do spraw sztuki ze strony szkolnictwa ogólnokształcącego ponoszą też trochę winy i organizatorzy życia artystycznego. Wybiera się fałszywe metody nauczania. Żądało się od uczniów drobiazgowych wiadomości teoretycznych z muzyki, a nie uczyło się ich słuchać muzyki, godzinami kazało się przerysowywać garnki, a nie uczyło się patrzeć na wielkie dzieła malarstwa lub architektury. Muzyka (niesłusznie dzielona na „muzykę" i „śpiew"), plastyka i wszelkie inne przedmioty artystyczne winny mieć w szkole ogólnokształcącej stałe miejsce — od najniższej klasy szkoły ogólnokształcącej do najwyższego kursu uniwersytetu. Niech to będzie rozśpiewanie w niższych klasach, dobrze postawiony chór i nauka wiadomości o muzyce w klasach średnich, słuchanie muzyki i wiadomości z historii muzyki w klasach starszych, stałe i obowiązkowe, komentowane koncerty na uniwersytetach — a rezultaty będą na pewno doskonałe.

Osiągnięcie tego nie jest trudne, trzeba tylko dwóch rzeczy — nowego podejścia do programu i wymagań ze strony układających programy oraz przełamania niechęci do przedmiotów artystycznych u tych, którzy decydują o siatkach godzin. Wtedy się okaże, że ta skromna sieć instytucyj muzycznych, jaką dysponujemy, jest za mała — wtedy na pewno znajdziemy pełnowartościowego słuchacza na sali koncertowej.

Witold Rudziński

		Śpiew	Chór	Rysunek	Zajęcia praktyczne
Szkoła podstawowa	1939	14	1	13	25
	1949	7	2	4	7
	% redukcji	50 %	—	70%	71%
Gimnazjum	1939	8*)	nadobow.	8*)	8
	1949	—	nadobow.	3	—
	% redukcji	100 %	—	65%	100%

*) do wyboru

WOJCIECH NATANSON

ŚWIAT MAUPASSANTA

Guy de Maupassant: „Spadek i inne opowiadania". „Książka i Wiedza". Warszawa, 1949 r.
Guy de Maupassant: „Włóczęga". Opowiadania. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1949.
Guy de Maupassant: „Opowiadania". „Czytelnik". Warszawa, 1949.

Częstymi bohaterami nowel Maupassanta są drobni urzędnicy. Pisarz bawi się ich skromnemi ambicyjkami (podwyżki i awansu), szydzi z ich służbistości i lękliwości, niemiłosiernie odsłania drobne podłostki. Czasem poddaje tych drobnych funkcjonariuszy okrutnej próbie psychologicznego eksperymentu: stawia ich w sytuacji, gdzie chciwość walczy z głęboko zakorzenionymi pojęciami moralności i honoru. W noweli „Spadek" („L'héritage") pokazuje, jak wije się karierowicz i służbista Lesable, gdy uzyskanie milionowego dziedzictwa uzależniono od warunku, którego spełnić nie może, jak godzi się milcząco i dość niezręcznie zachowując zaledwie pozory, na rozwiązanie upokarzające i komiczne. Tak znów w króciutkiej noweli „En famille" („W rodzinnym gronie") urzędnik ministerstwa marynarki Caravan, biorąc przez pomyłkę letarg 90-letniej matki za śmierć, godzi się na ciche obrabowanie „zmarłej" przez własną żonę, co mu bynajmniej nie przeszkadza doznawać głębokiego smutku. Tak wreszcie w „Naszyjniku" biedny urzędnik Ministerstwa Oświaty, Loisel, niszczy życie własne i żony, by odkupić zgubiony naszyjnik — który, jak się potem okazuje, był fałszywy.

Mieszkańcy prowincjonalnych mieścin normandzkich, kupcy, rentierzy, prostytutki, właścicielka domu publicznego, oficerowie francuscy i pruscy, tworzą w nowelach Maupassanta świat podobny. Pisarz widzi ich z drapieżną dokładnością, przenika prawie na wskroś. Bohaterowie tych utworów nie budzą w Maupassancie ani sympatii, ani współczucia, ani oburzenia, ani nawet zdziwienia czy śmiechu. Jedynym uczuciem, jakie zna autor „L'héritage" wobec swych bohaterów — jest leciutki niesmak. Pani Lesable, spełniwszy (w noweli „Spadek") akt niezbędny dla uzyskania dziedzictwa z pięknym Maze, wypędza go natychmiast, likwiduje towarzysko — jak pajęczyca ze słynnej książki Fabre'a likwiduje po uczcie miłosnej swego partnera. Kupcy z Rouen zmuszają biedną „Baryłeczkę" do spełnienia kaprysu pruskiego oficera, by się natychmiast od niej odsunąć, gdy przestała być potrzebna.

Jakże różny jest sposób patrzenia na ludzi w świecie Maupassanta od metod i odczuć innych pisarzy nowoczesnych! U Balzaka czy Dostojewskiego ludzie kipią namiętnościami; u Maupassanta są tylko przedmiotem animalnie działających instynktów (z wyjątkiem powieści „Fort comme la mort" i noweli „Ojciec Milon"). Może najbliższy jest artystycznie autor „Naszyjnika" pierwszej fazie twórczości France'a; ale od Anatola France'a jest jednak Maupassant bezlitośniejszy, surowszy, ostrzejszy.

Rzecz dziwna: ten świetny i tak ostry analityk, ten naturalista, — nie w literackim, tylko w naukowym znaczeniu tego słowa, jest jednak równocześnie obdarzonym wspaniałą wyobraźnią lirykiem. W beznamiętnym toku narracji błyska nagle zadziwiająco świeża metafora, jak np. w powieści „Une vie" „nagle wstaje za wzgórzem poprzez gałęzie jodeł księżyc czerwony, olbrzymi i jakby *zdrętwiały ze snu*". Warto dla zorientowania się w potędze środków pisarskich Maupassanta, przytoczyć następujący ustęp z noweli „Spadek":

„Lesable powrócił do siebie. Mieszkanie wydało mu się odmienne, większe, jaśniejsze, ale ponieważ nie mógł usiedzieć na miejscu, wyszedł na balkon.

Były już pierwsze dni lipca i wielkie słońce, które za chwilę miało zniknąć za dwiema wieżami Trocadera, zsyłało płomienny deszcz na stłoczone dokoła dachy.

Począwszy od buchającej z dołu czerwieni, przestrzeń przybierała wyżej odcień bladego złota, nad nim odcienie żółte, wyżej odcienie zielone, o zieleni zwiewnej i powleczonej światłem, a jeszcze wyżej stawała się błękitna, czystym i świeżym błękitem, unoszącym się ponad głowami.

Lesable trzymał się obydwiema rękoma żelaznej poręczy, pijąc powietrze, jak się pije wino. Tyle naszło go radości głębokiej i triumfalnej, że miał ochotę skakać, krzyczeć, gwałtownie gestykulować"...

Czyż to nie wspaniały styl poetycki? Ale i on ma swoje miejsce w chłodnej konstrukcji środków artystycznych Maupassanta. Bohater tych doznań zanurzy się za chwilę w dość brudnych kombinacjach spadkowych. Maupassant zdaje się tu urzeczywistniać ową idealnie beznamiętną postawę pisarza, o której wspominał Benda w „Journal d'un enterré vif". Ale współczucie dla krzywdzonych i uciskanych zaczyna chwilami torować sobie drogę w tym powieściowym świecie. Nowela „Włóczęga", jest przedsmakiem późniejszych dramatów bezrobocia, a zarazem ostrą krytyką ustroju, gdzie dla dręczonego nędzą człowieka więzienie staje się niemal ratunkiem.

Odrębne stanowisko Maupassanta łączy się też z uprawianym przezeń najchętniej gatunkiem. Wydał 7 powieści, 3 zbiory wrażeń z podróży (wśród nich przepyszne „Sur l'eau"), 3 tomy utworów teatralnych oraz „Wiersze", niedocenione za życia, dziś budzące we Francji coraz to większe uznanie. (U nas ukazał się przed wojną poemat „Wenus wiejska" w doskonałym przekładzie Wiesława Goreckiego). Głównym jednak polem działania Maupassanta była nowela. Napisał ponad 100 tych krótkich utworów, zebranych w 16 tomach. Nikt ze współczesnych pisarzy francuskich nie doprowadził jej do takiej doskonałości, do takiej precyzji. Bohaterowie nowel poruszają się jakby na zwolnionej taśmie filmowej, „au ralenti", tak bardzo brak im wielkości (z wyjątkiem milczącego heroizmu ojca Milon), a jednak czytanie tych nowel ma w sobie coś porywającego, budzi zachwyt. Brak wszelkiego patosu (nie tylko w zestawieniu z wrzącą twórczością Victora Hugo, czy Balzaka) nie osłabia wcale słonecznej wyrazistości każdej najmniejszej sylwetki ludzkiej. Bohaterowie Maupassanta nie są tak zabawni i potraktowani z takim rozmachem humoru jak Tartarin de Tarascon czy Pickwick, Zagłoba lub Rzędzian; a jednak nieubłaganą konsekwencją ich postępków jest przebłysk naszego uśmiechu.

Tajemnicę twórczości Maupassanta można przeniknąć w pełni dopiero wtedy, gdy się uwzględni jej warunki historyczne. W tej twórczości odmalowała się szczytowa, najdoskonalsza forma epoki mieszczańskiej. Pieniądz jest w tym świecie miernikiem wartości nie tylko ekonomicznych, ale i wszelkich wartości moralnych. Wszystko jest wymierne, wszystko jest przedmiotem handlowych transakcji. Chłop sprzedaje w jednej z nowel żonę, bezdzietna pani d'Hubières kupuje sobie synka, urzędnik drogą upokorzeń zdobywa karierę czy podwyżkę. Tylko wyobraźnia poety nie mieści się w tym obstawionym cyframi świecie. I ona to staje się jakby zalążkiem protestu.

Twórczość Maupassanta z wielu względów tak ciekawa, była w okresie 20-lecia zaniedbana w naszych tłumaczeniach z literatury francuskiej. Stało się więc dobrze, że „Książka i Wiedza" wydała obecnie dwa tomy nowel maupassantowskich, a „Czytelnik" obszerniejszy zbiór „Opowiadań". Razem otrzymaliśmy około 50 nowel maupassantowskich, czyli mniej więcej połowę. Jedno z opowiadań („Order") ukazało się nawet równocześnie w wydanych przez „Czytelnika" opowiadaniach i ogłoszonym przez „Książkę i Wiedzę" tomie „Włóczęga". Tym bardziej, iż wszystkie 3 tomy otrzymały dobre na ogół przekłady: R. Czekańskiej - Heymanowej („Opowiadania") Adolfa Sowińskiego („Spadek") i Marii Feldmanowej („Włóczęga"). Spierałbym się tylko o drobnostki: np. „ojciec" przed nazwiskiem ma w języku ludu francuskiego znaczenie, u nas wcale nieznane. „Père Savon" nie znaczy to samo, co „ojcze Savon". Tak samo „ami" ma u nas inne znaczenie i trudno je tłumaczyć słowem „przyjacielu", gdy rozmawiają w biurze szef i podwładny; raczej słowo „kolego" byłoby tu właściwe. (przekład Sowińskiego). To są jednak drobne do usunięcia usterki, podobnie jak zwroty w rodzaju „popadała w rozdrażnienie" (str. 21), czy „spoglądał z boku na dziewczynę, zdumiewając się nad jej świeżością (str. 24) — zdumiewamy się czymś, a nie nad czymś — albo wreszcie niezrozumiałe „równałoby się prawdziwej słodyczy, otoczyć ramieniem tę kibić" (str. 29).

Byłoby dobrze poprzedzić w następnych wydaniach zbiory nowel zwięzłym życiorysem Maupassanta oraz szkicem o historycznym podłożu i znaczeniu jego dzieł.

Ale to już sprawa ogólniejsza. Wydawnictwa nasze winnyby wrócić do dobrej tradycji Boya i dawać czytelnikowi nieco informacji o autorach zagranicznych, gdyż wstępy znakomicie zwiększyłyby kulturalne znaczenie tego rodzaju publikacji.

Wojciech Natanson

PIERWIOSNKI CZY NIEŚMIERTELNIKI?

Wacław Kubacki, Pierwiosnki polskiego romantyzmu. Kraków, Wydawnictwo M. Kot, 1949; str. 192 i 4 nl.

Powiedział ktoś, że połowę geniuszu stanowi praca. Nie przesądzając przyszłości, można śmiało stwierdzić, że tę połowę Wacław Kubacki, jako badacz zjawisk literackich, opanował całkowicie. Wszystkie jego studia odznaczają się rzadką sumiennością i drobiazgowością, zwłaszcza jeśli chodzi o docieranie do źródeł twórczości literackiej. W naszych oczach rozwija kłębek Ariadny, prowadzący go w głąb zawiłego labiryntu, wydrążonego przez podziemne nurty genetyczne i na każdym zakręcie robi na nitce supełek. W ten sposób powstaje łańcuch zjawisk, związanych ze sobą przez żmudne dociekania badacza, który trafiwszy na zagadkę, atakuje ją i osacza ze wszystkich stron dopóty, aż wrota tajemnicy pękną.

Powiedzmy szczerze: komu by się chciało tak uporczywie mozolić nad pytaniem, kto zacz jest ów tajemniczy Cesalbi, wspomniany w jednym z pism filomackich Mickiewicza, jako autor rozpraw, umieszczonych na czele dzieł Metastazjusza? Redakcja miesięcznika, ogłaszającego owe pisma filomackie, poprzestała na przypisku: „Do wydań Metastasia z rozprawami Cesalbiego nie udało się dotrzeć". Nic dziwnego. Bo, jak wykazał Kubacki, Cesalbi w ogóle nie istniał.

Ale zanim tego dowiódł, nazwisko Cesalbi było przez długi czas jego zmorą. Do znalezienia nitki Ariadny pomogły pamięć i intuicja, te dwie przewodniczki poetów i uczonych. Z mroku wyłoniło się podobne do poprzedniego, raczej wzrokowo, niż dźwiękowo, nazwisko Calzabigi. Intuicja nie zawiodła, gdyż rzeczywiście wzmiankowane pisma Mickiewicza dochowały się w kopiach dość niewyraźnych. Kopista często przekręcał nazwiska cudzoziemskie, których nie mógł odczytać z oryginału. Prawdopodobnie i tu zaszła taka pomyłka. Ale żeby ją udowodnić, więcej, żeby wykazać, czego szukał i co znalazł Mickiewicz w pracach Calzabigiego, Kubacki sięga aż do połowy wieku XVIII i ustala wpływy zarówno Calzabigiego, jak Metastasia, na rozwój melodramatu i reformę opery.

W rezultacie po czterdziestu z górą stronach cytat, szperań, dociekań, konfrontacji, mozolnego, cegiełka po cegiełce, budowania przesłanek, dochodzi do wniosku, że „Mickiewicz mógł znaleźć u Metastasia i Calzabigiego zachętę i pomoc do eksperymentów formalnych" w zakresie dramatu i że obydwaj włoscy pisarze są niejako prekursorami romantyzmu, gdyż przyczynili się do przezwyciężenia tragedii klasycystycznej.

Rozpisuję się tak długo nad tym jednym studium dlatego, żeby unaocznić typ metody naukowej, nie pogardzającej najbłahszym pozornie drobiazgiem, jeśli jego zbadanie prowadzić może do głęboko sięgających odkryć.

W większości pozostałych „Pierwiosnków polskiego romantyzmu" Kubacki poddaje drobiazgowej analizie glebę, na której wyrosły i na podstawie umiejętnie dobranych zestawień dowodzi, że żyzny „humus" tej gleby to racjonalizm i klasycyzm epoki minionej.

Mickiewicz, młody romantyk, walcząc o nowe prawa sztuki, o swobodę twórczą, nie tylko nie odrzuca dorobku swoich poprzedników, ale czerpie z niego pełną dłonią. Źródło pozostaje to samo, tylko odmienny jest kierunek łożyska, którym toczą się nurty natchnienia poetyckiego. I tu właśnie otwiera się przed badaczem pole do usunięcia i zwalczenia pewnych utartych definicji, pewnych zakorzenionych szablonów i uproszczeń.

Że „Zima miejska" jet utworem typowo pseudo-klasycznym, że u jej kołyski czuwali tacy dostojni starcy, jak Pope („Pukiel włosów ucięty"), Saint - Lambert („Pory roku"), Delille („Ziemianin"), Niemcewicz („Powrót posła" i poemat „Puławy"), Trembecki („Zofiówka"), Ks. Maria Wirtemberska („Malwina"). Franciszek Zabłocki („Fircyk w zalotach"), Osiński, wreszcie „Wiadomości brukowe" wileńskich „Szubrawców" — na to przystajemy bez zastrzeżeń. Wpływologia Kubackiego jest druzgocąca.

Natomiast podlega dyskusji pytanie, czy „Zima miejska" jest obrazkiem obiektywnym, czy świadomą satyrą, o nastroju bliźniaczym z opisem zimy petersburskiej w „Eugeniuszu Onieginie" Puszkina? A już śmiałością paradoksu imponuje parabola, przerzucona od „Zimy miejskiej" do słów Zosi w „Panu Tadeuszu: „Przekonałam się zimą, w Wilnie, po krótkim pobycie, że ja na wiejskie urodzona życie" i ciekawy paralelizm Kubackiego: „przez przeżycie zimy miejskiej Zosia dochodzi do prawdziwego umiłowania wsi. Jest to jakby symbol ideologiczno - poetyckiej drogi Mickiewicza: od młodzieńczej burleski na temat miejskiego życia do wiejskiego poematu".

„Oda do młodości" ten hymn filomacki i credo romantyczne zarazem, była orzechem trudniejszym do zgryzienia. A jednak i tu krok za krokiem, drogą drobiazgowej analizy, przypominającej chwilami sekcję anatomiczną, Kubacki wykazał całkowitą zależność ideałów „Ody" (heroizm, entuzjazm, wiara w twórczą potęgę ducha ludzkiego) od ideologii wieku oświecenia.

Z tego szczegółowego faktu wyprowadza ciekawe i śmiałe wnioski ogólne:„okazuje się, że źródła naszego romantyzmu są głębsze i bardziej oryginalne, niż się potocznie mniema. Są te same, co i romantyzmu angielskiego, niemieckiego, francuskiego. Zamiast o wpływie trzeba mówić o prądzie. Takie ujęcie zagadnienia nie dopuszcza sztucznego dualizmu racjonalistyczno-romantycznego".

„Powrót taty" stał się pretekstem do ciekawych rozstrząsań „skrótu psychologicznego, zwanego potocznie przełomem moralnym", pojęcia „czasu literackiego", „motywu nagłej zmiany charakterologicznej". Mickiewicz za istotę byronizmu uważał zdolność do przewrotów duchowych. A jednocześnie Kubacki przez zestawienie „Powrotu taty" z Balladą Schillera „Der Gang nach dem Eisenhammer" zwraca uwagę na możliwość pewnej paraleli autobiograficznej w związku z przeżyciami kowieńskimi z panią Kowalską. Wpływologia, jak widzimy, zaprowadziła nas bardzo daleko.

W krótkim szkicu o „Hymnie na dzień Zwiastowania N.M.P." Kubacki wnikliwie podnosi fakt, że Mickiewicz „nadał hymnowi świadomie cechy improwizacji" — „prośbą o natchnienie w osobie proroka. Ów prorok to jakby guślarz z tajnych obrzędów, mówca lub poeta boży". Poeta rozszerza tradycyjne ramy religijnego hymnu, wypełniając je „nową i pogańską treścią: poetyckim tytanizmem", jakby w myśl koncepcji Shaftesbury'ego, który rzucił myśl, że „poeta jest obok Boga drugim twórcą i prawdziwym Prometeuszem".

Końcowa strofa sztambuchowego utworu Mickiewicza, zaczynającego się od słów: „Ku różnym stronom ściągnęliśmy dłonie", brzmiąca: „że wstręt ku wszystkim znowu je pobrata i że się muszą kochać nienawiścią" — wywołuje filozoficzny komentarz pt. „Absolutum Mickiewicza". Chodzi tu o grę przeciwieństw, „o przyciąganie się cząstek różnorodnych a odpychanie jednorodnych".

Czy droga myśli Mickiewicza była w tym utworze identyczna z tą, którą tu zakreśla Kubacki? Niebezpieczeństwem, zagrażającym zbyt szczegółowemu rozbiorowi dzieł poetyckich, zapuszczającemu się nadmiernie głęboko w pokłady filozoficzne, jest rozkład tych dzieł. Oskubany, płatek po płatku kwiat natchnienia przestaje być kwiatem, dziełem sztuki. Zostaje z niego suchy, spreparowany badyl, produkt podświadomych, żywiołowych sił, zdemaskowanych przez krytykę. Otóż przy tej akcji demaskowania zatraca się bardzo często to, co stanowi magię poezji: bezpośredniość jej oddziaływania na czytelnika. I dlatego prace tego rodzaju, jak „Pierwiosnki", nieocenione dla krytyka i badacza, powinny być bardzo oględnie dawane do rąk laikom.

Wreszcie w studium „Etyka i poetyka" autor przede wszystkim rozstrząsa zagadnienie winy i kary w poezji Mickiewicza. „Kara ta z zasady bywa większa, niż przestępstwo. Taka jest główna cecha moralności literackiej. Nie jest to bowiem tylko moralność systemów etycznych i kodeksów prawnych, przykrojonych na miarę słabości ludzkiej, jest to moralność dzieł sztuki, czyli idealnych konstrukcji społeczno-moralnych".

W dalszym ciągu krytyk maluje głęboki rozłam poety na tle walki o światopogląd twórcy, jaką toczą systemy moralno-religijne ze sztuką. „Ożywienie uczuć religijnych prowadziło w sposób naturalny do zaostrzenia tego konfliktu i odcinało ostatecznie poetę od zbawczych rezerwuarów „pogaństwa".

W „Legionie" Wyspiańskiego spotykamy scenę w galerii pod kopułą św. Piotra w Rzymie. Guślarze, rusałki, świtezianki przyleciały aż tu, by wyrwać Mickiewicza z więzów mistycyzmu katolickiego. Na wozie ognistym wpada pod kopułę Bazyliki król Mendog, „litewski król Mendog spod Trok". Jest to jeden z najwspanialszych obrazów dramatycznych Wyspiańskiego, w potędze koncepcji dorównujący najśmielszym wizjom Sykstyny.

Tak intuicja poety w genialnym skrócie wyprzedza mozolną wędrówkę naukowca. Kamienie przydrożne, jakie badacz kładzie na przebytym szlaku, nie tylko torują drogę następcom, ale dają pojęcie o sile rzutu, na jaką stać geniusz twórczy poety.

Stefania Podhorska — Okołów

ZAGADNIENIE ZIEM ODZYSKANYCH

„Wieś na pograniczu" — film produkcji czeskiej. Scenariusz: **Vladimir Tuma i Franciszek Dworzak**, reżyseria: **Jirzi Krejczik**, muzyka: **Jirzi Suszt**, w rolach głównych **Jarmila Kurandova (Pavlasova), J. O. Martin (Pavlas), Bohus Zahorsky** (dziadek), **Rudolf Hrusinsky jr.** (Józef) i inni. Produkcja: grupa **Jirzi Weissa i VI. Kabelika** „CSF" 1948.

I

Spośród kinematografii krajów demokracji ludowych kinematografia czechosłowacka na najstarsze tradycje, jest najlepiej wyposażona technicznie i zarazem najliczniej reprezentowana. Podczas gdy w Polsce zliczyłoby się na palcach jednej ręki wszystkich scenarzystów, na drugiej realizatorów, w Barrandowie pracuje około 30 reżyserów, a dla Barrandowa piszą liczni scenarzyści, często doskonale obznajmieni z prawami dramaturgii filmowej.

Toteż, gdy na naszych ekranach zaczęły się ostatnio ukazywać słabe, nieomal zupełnie złe filmy czechosłowackie, jak np. „Kariera", niepokoiliśmy się poważnie, czy wielka ilość filmów, powstających w Czechosłowacji, nie odbije się szkodliwie na ich jakości.

Na szczęście — tak się nie stało. Nowe filmy, które wkrótce wejdą na nasze ekrany, jak „Dni zdrady", „Pan Novak" i „Sumienie" (z pewnymi zastrzeżeniami) dowodzą, że kryzys filmowy u naszego południowego sąsiada był tylko chwilowy.

II

„Wieś na pograniczu" to najlepszy film czechosłowacki, jaki ukazał się na naszych ekranach po wojnie. Stanowi on olbrzymi krok naprzód w dziedzinie filmu społecznego, w porównaniu do niedawno wyświetlanych „Sępów". Głównym błędem „Sępów" było wyjaskrawienie typów ujemnych oraz brak bohatera pozytywnego (inżyniera Fridla — mimo jego słów i nawet mimo jego działalności — nie można uważać za bohatera pozytywnego).

„Wieś na pograniczu" zawiera, w przeciwieństwie do „Sępów", zagadnienie bardzo aktualne, a bohaterowie przedstawieni przez scenarzystów składają się tym razem na przekrój społeczności ziem odzyskanych, który wydaje nam się trafny.

Jaki element ruszał na ziemie odzyskane — powszechnie wiadomo. Obok zdecydowanych na przezwyciężenie wszelkich trudności przedstawicieli władz, obok odważnych i pracowitych pionierów, obok ludzi pełnych energii i dobrej woli, jechali tam zawodowi hochsztaplerzy, szabrownicy, przemytnicy, wreszcie beztroscy młodzikowie, żądni wrażeń i sensacji.

Na ziemiach tych osadnicy zastawali albo pracowitych autochtonów, albo też Niemców czy faszystów, którzy oblekając się w owczą skórę sabotowali wysiłki gospodarcze państwa i osadników.

We „Wsi na pograniczu" mamy przekrój powstającej tuż po wojnie społeczności ziem odzyskanych. Pokazano nam wszystkich tych ludzi prawdziwie, stwarzając obraz całkowicie realistyczny, o charakterze niemal dokumentalnym.

Dzięki dramatycznemu scenariuszowi, film nie ogranicza się do modnego dzisiaj reportażu, jest filmem fabularnym. Elementy polityczno-społeczne filmu harmonizują doskonale z przebiegiem akcji.

Nie ma w tym filmie ani jednej niepotrzebnej postaci, ani jednej niepotrzebnej sceny, zbytecznych słów. Jesteśmy najpierw świadkami zagospodarowywania jednej zagrody, następnie całej wsi, potem

utworzenia rady gminnej, wreszcie akcji żniwnej i mechanizacji uprawy roli. Równolegle z tym, widzimy postępy w oczyszczaniu kraju z elementów reakcyjnych, pozostających na służbie epigonów faszyzmu, pomoc, jakiej wojska ochrony pogranicza udzielają osadnikom.

Głównym bohaterem filmu jest rodzina Pavlasów, która jako pierwsza przybyła do opustoszałego i zrujnowanego Sewerowa. Pavlas jest typem przedsiębiorczego, ideologicznie wyrobionego pioniera. Jego żona reprezentuje kobiecy konserwatyzm, ale wkrótce i ona przekonuje się do pracy na nowym terenie. Element humoru wnosi kapitalny dziadek, bystrzejszy od wielu innych, znacznie młodszych osadników.

Bardzo precyzyjnie przeprowadzili scenarzyści podział społeczeństwa na element zdrowy, twórczy oraz na podżegaczy i wichrzycieli. Triumf pierwszych jest całkowicie logiczny i zgodny z rzeczywistością. Dzięki doskonałej gradacji efektów dramatycznych film ani chwili nie nuży, trzymając uwagę widza w stałym napięciu.

III

Zdarza się czasem tak, że gdy film jest w zasadzie wyjątkowo dobry — zawodzą szczegóły i widz opuszcza salę niezdecydowany. Jirzi Krejczik potrafił jednak świetnie poprowadzić aktorów i wydobyć z nich indywidualizację postaci, tworząc z każdej pełną, ciekawą i soczystą osobowość. Na pierwszy plan wybija się Bohus Zahorsky jako dziadek. Trudno się domyślić, że aktor ten nie przekroczył jeszcze 45 lat! Jego postać jest znakomita. Odrażającą sylwetkę byłego SS-mana stworzył Jan Pivec, a dalej trzeba by wymienić całą obsadę, gdyż wszyscy wywiązali się doskonale ze swoich ról.

Zdjęcia przeważnie robione poza atelier, oryginalnie ujmowane, bardzo żywe; montaż filmu wyjątkowo sprawny, miejscami dowcipny. Jeżeli można mieć do kogoś pretensje, to tylko do Jirzi Suszta, który — niestety jak zawsze — przygłuszał muzyką niektóre akcenty dramatyczne filmu, wcale ich nie pogłębiając. Muzyka w filmie nigdy nie powinna „przygłuszać" obrazu — do czego ten zdolny zresztą kompozytor ma skłonność we wszystkich przez siebie komponowanych partyturach.

Zapoznaliśmy się więc z zagadnieniem czechosłowackich ziem odzyskanych. Czekamy teraz na polską „Wieś na pograniczu".

Wacław Sieradowski

GINO W PIETRAROSSA

(Dokończenie ze strony pierwszej)

— Czy Mario też pojedzie? — spytał Gino.

— Synu — ksiądz zabębnił palcami — jakeś przyszedł do mnie, to już nie zadawaj pytań.

— Nikogo nie sprowadzę — powiedział Gino cicho — i nie umiem kosić. U nas w Sardynii nic nie rośnie. Trawa zaraz więdnie.

— A strzelać umiesz? — ksiądz dwoma palcami podparł głowę. Głos miał zmęczony. Opuścił powieki ze znużenia. Pomarańczowa smuga spełzła z nóg Chrystusa. Gino nie wiedział, która godzina, ani dlaczego go ksiądz pyta, czy umie strzelać. U Fabia policja nie znalazła rewolweru. Kiedy mu to opowiadała Teresa, chciał jej powiedzieć, że gdyby u niego szukano, byłoby z nim gorzej. Gino znowu spojrzał na księdza i wydawało mu się, że zdrzemnął się. Miał wciąż opuszczone powieki. Czy miał odejść? Czego chciał od niego Fabio? Do powrotu Bice jest jeszcze daleko. Czy umie strzelać? Pewno. Był żołnierzem w Afryce. Odwrócił się, to weszła znowu siostra, która miała pół imienia Bice. Siostra zrobiła ręką gniewny ruch.

— Umiem, umiem strzelać — krzyknął Gino, kiedy spostrzegł, że ksiądz nie śpi i że zabiera się do pójścia za siostrą Beatą.

Ksiądz już szedł w kierunku drzwi. Spojrzał zdziwiony na Gino:

— Nie rozumiem, o co ci idzie, synu — powiedział.

Szli w trójkę, milcząc, przez długi ciemny korytarz. Przez półokrągły otwór po prawej stronie wpadało złote światło, przecinające im drogę. Siostra Beata, podnosząc lekko głowę, jakby poprawiała ją dla powagi kornetu i splatając godnie ręce na zwisającym czarnym różańcu, bez słowa skręciła ku przeświecającemu zielenią dziedzińcowi. Ksiądz pozostał nieco w tyle. Gino stał przez mgnienie oka wpatrując się w oświetloną popołudniowym światłem twarz księdza. Miał przeczucie, że w ostatniej chwili padre mu coś powie.

Ksiądz skrzywił lekko usta:

— Dobrze — odezwał się, podnosząc niedbale rękę jak do tysiącznego z rzędu błogosławienia — przyjdź jutro o piątej rano. Tam, gdzie mówiłem.

Gino zadrżał. Będzie miał pracę. Będzie miał pracę. Wszystko już jedno. Niech będzie praca w polu. Niech Mario rozpowie! Bice wraca dopiero o ósmej. Stał jeszcze przez długą chwilę w korytarzu. Ksiądz z siostrą Beatą znikli. Potem ujrzał samą Beatę idącą przez dziedziniec. Podbiegł do niej. Chwycił ją za rękę. Chciał jej powiedzieć, że jest bardzo głodny, ale spytał:

— Która godzina?

Gino jeszcze się błąkał po ulicach, zanim wrócił do domu. Gospodyni Agnese siedziała na krześle przed domem i robiła sweter z białej włóczki. Przywitała Gina słowem, które znaczyło, że wszyscy wiedzieli o wizycie u księdza, o jej celu. Był też Fabio, który go szukał godzinę temu. Kiedy Mirella jeszcze żyła. Teraz przed domem Fabia stała grupka dzieci i młodych dziewcząt, ciekawych śmierci w cudzym domu. Wycie Teresy snuło się po placu-ulicy, jak dym na wietrze: raz wyżej, raz niżej.

Na pytanie, która godzina, Agnese odpowiedziała wzgardliwym milczeniem. A gdy Gino wszedł do izby, ogarnęła ją nagła wściekłość. Nie przebierała w słowach. Między innymi Gino usłyszał groźbę wyrzucenia z mieszkania. W przeciwieństwie do siostry Beaty wiedziała, że czeka na ósmą godzinę, kiedy Bice wraca z pralni. Już teraz może na nią czekać na ulicy. U uczciwych ludzi umierają z nędzy dzieci, a on jest undisgraziato. Umilkła na moment, kiedy usłyczała, jak Gino szuka w garnkach, czy co nie zostało do zjedzenia.

— Nic, nic nie ma do żarcia — powiedziała.

Gino rzucił się na łóżko. Był śmiertelnie znużony. Chciał usnąć, żeby nie męczyć się czekaniem na Bice. Jeszcze było jasno. Z ulicy dobiegał hałas dzieci, który zagłuszał wycie Teresy. Poprosił gospodynię o trochę wody. Agnese cicho zaklęła. Na stole stała pękata flaszka. Została po winie, które bardzo dawno Gino kupił na święta. Ale jutro już będzie mógł znowu kupić wino. Łyk wina lub zimnej wody orzeźwiłby go. Ale podnieść się i pójść do ulicznego kranu było ponad jego siły. Przy pracy nie będzie się czuł tak słaby. Przy pracy zmęczenie przechodzi. Zarobione pieniądze pokaże Bice. Będzie więcej zarabiał niż ona. Marynarz wyjechał i więcej nie wróci. I Bice mu powie: nie jesteś wcale taki głupi, jak myślałam. A marynarz by się ze mną tak czy tak nie ożenił. A teraz ty masz pracę, i ja mam pracę, i możemy razem pojechać w niedzielę do Ostii. Jak nie ma okrętu, to dobra jest też łódka. Bose nogi Agnese ciężko klaskały po kamiennej podłodze. Ale Mario z baru mi powiedział, że byłeś u padre Giacinto. I żołnierza, który walczył w Afryce pytał... czy umie strzelać. Nie powiedziałem mu nic na to. Tam siostra ma prawie twoje imię. Chciała mi dać coś zjeść, ale ja powiedziałem dziękuję. Nie jestem bezrobotny. Bezrobotny byk, który by nie umiał zarobić solda, a Bice chodzi codziennie do pracy.

Agnese szarpnęła go za ramię:

— Śpisz, disgraziato?! — podała mu pękatą flaszkę. Gino podniósł się i łykał chciwie zimną wodę.

Gospodyni kiwała nad nim głową.

— Radzę ci, żebyś nie był parszywą owcą. Fabio, Marco i tylu innych mają dzieci i zaciskają zęby. Pamiętaj, że ci tutaj nikt łyku wody nie poda.

Próżną flaszkę oddał Agnese. Rozumiał coraz mniej, co mówiła. Zapadał w sen.

Kiedy się obudził, niebo już było srebrne. Wieczorny wiatr wpadał do izby. Zasłona w drzwiach była odchylona. Widział gospodynię siedzącą wciąż na krześle i robiącą na drutach prawie po ciemku. Wrócił Basilio z krążenia po mieście. Żona pomogła mu wtaszczyć wózek ze starzyzną. Bice wróciła zaraz po nim.

Gino siadł na łóżku.

— Bice, mam pracę — powiedział. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie cieszysz się, Bice?

— Cieszę się. Gdzie dostałeś pracę?

Agnese uderzyła się dłońmi po swych szerokich biodrach:

— Nie wiesz, gdzie? U padre Giacinto! Będzie chodził zabierać innym chleb.

— Niech donna Agnese nie gada głupstw — krzyknął Gino.

Wmieszał się Basilio:

— Kto mówi głupstwa? gadaj! — padrone podszedł do niego. Gino jednak leżał spokojnie i obojętnie patrzał na zbliżającą się bryłę gospodarza. Nie mogło dojść do bójki z obojętnym przeciwnikiem. Basilio wzruszył szerokimi ramionami i odwrócił się. Zbliżył się do Bice. Jedną ręką podparł się w bok a drugą położył na tłustej łysinie:

— Łamistrajk, ła-mi-strajk — powtórzył, krzyżując przy tym filuternie swe ciężkie nogi. — Powiedz mi, za złodzieja wyszłabyś za mąż? — Za mordercę wyszłabyś za mąż? Prawda, że nie. W Pietrarossa takich jak on nie było i nie będzie. Prawda, Gino nie urodził się w Pietrarossa, prawda, belezza? — zwrócił się do swej żony, chcąc ją objąć wpół.

— Zajrzałeś już dziś do Arcamone. Zaraz to poczułam. I dlatego się tak szybko ująłeś za mną — powiedziała Agnese — Pij, pij, a potem nie będziesz miał co jeść.

W pokoju panował już mrok, ale kiedy zabłysła żarówka uliczna, zawieszona na drucie, przez odsłonięte drzwi wpadło światło. Tylko w kącie, gdzie stało łóżko Gina, było ciemno. Gino widział Bice, która stała odwrócona do niego plecami. Przez cały czas milczała. Chciał usłyszeć jej głos, ażeby z niego wywróżyć szczęście lub nieszczęście. Wystarczyłoby brzmienie jej głosu. Dla niej przecież...

— Dla ciebie przecież, dla ciebie...— krzyknął nagle Gino. Wtedy dopiero Bice odwróciła się. Zobaczył jej wykrzywioną ze złości twarz i usłyszał jej głos:

— Odczep się ty! Czego chcesz odemnie?! Rób, co chcesz, powieś się, tylko mnie daj spokój! Nic nie chcę od ciebie, nic. Słyszysz?! — Bice wybuchła płaczem i wybiegła z izby.

Gino zszedł wreszcie z łóżka. Zaczął chodzić po pokoju. Tam i z powrotem. Wyjść na ulicę i szukać Bice nie miało sensu. Płakała z tęsknoty za marynarzem. Suka, jednej nocy go nie widziała, to już płacze. Teraz mu już wszystko jedno. Niech się to raz skończy. Nie będzie pytał nikogo.

— Nie będę pytał nikogo — krzyknął głośno. Rozejrzał się, szukał kogoś, ktoby mu się sprzeciwił. Marynarzowi wszystko jedno połamie żebra. O, jemu pokaże, czy umie strzelać! Gino zacisnął pięści i przywarł je do skroni. Czego od niego chcą? W Galipoli morze pachnie. A w Sardynii szumi i jęczy, rozbija się o nagie skały. Wali w skronie. Niech się to wszystko skończy. To z niedojadania, lekarze tyle tylko wiedzą. Było ciemno, nic nie widział. Przysłonił oczy dłonią. Bice weszła uśmiechnięta z dymiącym kotłem.

Usłyszał swoje imię. Ktoś pytał: „czy jest Gino?". Ten głos nie wróżył szczęścia. Choć to nie była Bice. A jednak ktoś pytał o niego po imieniu Tak, „Gino" to on, jeszcze ten sam co wczaraj. Ciążyła mu głowa. Teraz poczuł wyraźnie, że mu spuchły wargi jak po paru litrach wina.

Marco siadł na łóżku Bice. Mówił, że go posłał Fabio. Fabio nie mógł przyjść. Marco kazał Ginowi też usiąść na łóżku. Podał mu papierosa. Gino zaciągnął się dymem z całych sił. Marco mówił, chwilami przerywał i pytał: „czy to nie prawda może, Gino?" Gino zaciągnął się papierosem i mówił: „nie będę się pytał nikogo". Agnese uderzała się po szerokich biodrach i wołała: „disgraziato!" — „Chodź z nami, Gino — mówił Marco — będziemy pomagać strajkującym. Koło Modeny została zastrzelona kobieta przez uzbrojonych łamistrajków. A ty chcesz pomóc obszarnikom i księżom?". „Nie będę się pytał nikogo" — mówił Gino. „Czy ty jesteś robotnik, czy kapitalista? Jesteś bezrobotny? jesteś głodny? chcesz się ożenić z Bice? Wierzę. Przybiegają dziś do Fabia i mówią: Gino daje się kupić na łamistrajka. Poszedł do padre Giacinto. Nie wiem. Nie wierzę. Beh, nie mówmy o tym. A może ci każą strzelać do Basilia, który cię trzymał w mieszkaniu bez pieniędzy, a może cię jakiś kapitalista trzymał w mieszkaniu bez pieniędzy? A może ci każą strzelać do donny Agnese, która ci dawała jeść bez pieniędzy, a może jakaś kapitalistka ci dawała jeść bez pieniędzy? Ja tego nie mówię tak sobie. Organizują bezrobotnych, jak dawniej faszyści, i robią bojówki przeciw robotnikom. Tylko wiesz, jak powiedział Togliatti? Powiedział, że to już nie to, co dawniej. My jesteśmy teraz klasa robotnicza, która ma swoją organizację, i nie damy się już.

Pamiętasz, co było czternastego lipca. Gdyby nie to, że Togliatti jest za dobry i nie chciał, żeby przez niego robiono rewolucję, ho, ho, wiesz co by było? czy nie wiesz? gadaj!

— On nawet nie słucha, co się do niego gada — odezwała się Agnese.

— Słucham, słucham — wybuchnął Gino, uderzając się pięścią w czoło.— Nie będę się pytał nikogo! Już tego mam dość! Słyszycie, i tego waszego łóżka, i tej kurwy! Ja w wojsku byłem, i w niewoli byłem. Ja będę strzelać!

Gino rzucił się ku swemu łóżku, podniósł materac i wydobył stamtąd rewolwer. Agnese wrzasnęła, zatykając sobie uszy rękami. Marco i Basilio zerwali się na nogi, ale stali bladzi, nie ruszając się z miejsca. Czarne, połyskujące w blasku ulicznej żarówki oczy Gina latały z Marca na Basilia. W drzwiach stanęła Bice. Chwyciła się ręką odchylonej zasłony. Powstrzymała krzyk, zatykając sobie usta drugą ręką. Jej oczy zajmujące pół twarzy stały się jeszcze większe. Gino podniósł dłoń, aby powieść nią po włosach. Marco skoczył nań i powalił go na ziemię. Wyrwał mu rewolwer. Gino się nie bronił.

Marco już odszedł a on wciąż leżał na kamiennej podłodze. Basilio trącił go w nogę końcem bucika i kazał mu wstać. Bice przytuliła się do Agnese. Dygotała. Ale Agnese odsunęła ją od siebie i podeszła do Gina. Podkasując spódnicę klękła z trudem naprzód na jedno kolano a potem na drugie. Podsunęła rękę pod plecy Gina, chcąc go podnieść. Gino odepchnął ją. Oparł się dłońmi o podłogę i usiadł. Wstał. Rozejrzał się wokół siebie. Rewolweru nie było. Podszedł do łóżka. Podniósł znowu materac. Wyciągnął i rzucił na środek izby spłaszczone wojskowe buciki, zmięte spodnie i koc. Zwinął wszystko i wziął pod pachę. Jeszcze raz się rozejrzał, czy czego nie zostawił i wyszedł. Wzdłuż placu-ulicy snuło się wycie Teresy, jak dym na wietrze, raz wyżej, raz niżej.

Julian Stryjkowski

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA
»CZYTELNIK«

NOWOŚCI

Klub „Odrodzenia"
ANNA SEGHERS
UMARLI POZOSTAJĄ MŁODZI
Tłum J. Maliniak
str 321
K „O"

Biblioteka Romansów i Powieści
GEORGIJ GULIA
WIOSNA W SAKENIE
Tłum. T. Mongird
str. 58
zł 50

Biblioteka Romansów i Powieści
ALEKSANDER KUPRIN
OLESIA
Tłum. Z. Fedecki
str 61
zł 50

Bibl'oteka Romansów i Powieści
LEONID SOŁOWIEW
MĄCIWODA
Tłum. I. Zabludowska
2 tomiki
zł 100

WZNOWIENIA

ZOFIA NAŁKOWSKA
MEDALIONY
Wyd. 2
str. 87
zł 200

LEON KRUCZKOWSKI
KORDIAN I CHAM
Wyd. 9
str. 287
zł 450

MICHAŁ PRISZWIN
KORZEŃ ŻYCIA
i inne opowiadania
Tłum. A. Stawar, P. Hertz
Wyd. 2
str 268
zł 420

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
CZERWONE TARCZE
Powieść historyczna
Wyd. 4
str. 376
zł 700

Do członków Klubu „ODRODZENIA"

Zgodnie z tegorocznym programem Klubu „ODRODZENIA" Administracja Klubu rozesłała do obecnej chwili niżej wymienione książki:

1) Hilmar Wulff — „Droga ku życiu" (tłum. z duńskiego),
2) Alfred Varela — „Ciemna rzeka" (tłum. z hiszpańskiego),
3) Michał Szołochow — „Zorany ugór" (tłum. z rosyjskiego),
4) Anna Seghers — „Umarli pozostają młodzi" (tłum. z niemieckiego).

W chwili gdy zaległości klubu zostały całkowicie wyrównane Redakcja dziękuje Członkom Klubu „ODRODZENIA" za okazaną cierpliwość. Opóźnienia spowodowane były walką o jak najpoprawniejsze tłumaczenie i edycję dzieł beletrystyki obcej.

Równocześnie Redakcja powiadamia, że w ciągu najbliższych tygodni zamiast książki Adolfa Rudnickiego — nie gotowej jeszcze — otrzymają członkowie klubu jako książkę wrześniową inną nowość autora polskiego, a mianowicie:

5) Tadeusza Brezy — „Niebo i ziemia" T. I,
w listopadzie zaś zamiast „Uczty Baltazara":
6) Tadeusza Brezy — „Niebo i ziemia" T. II (ostatni).

Ze względu na to, że „Niebo i ziemia" to ciąg dalszy i zakończenie „Murów Jerycha"— znanej książki Tadeusza Brezy — przeto Redakcja Klubu zdecydowała się dać BEZPŁATNIE tę książkę Członkom Klubu, niezależnie od obiecanej książki — premii.

Egzemplarz „Murów Jerycha", w specjalnym wydaniu dla Członków Klubu, dołączony będzie do przesyłki wrześniowej, tj. do I tomu „Nieba i ziemi".

Wobec miłego zapewne dla wszystkich Członków Klubu „ODRODZENIA" faktu, że ilość książek klubowych wzrosła w bieżącym roku do cyfry ośmiu — Administracja Klubu pozwala sobie przypomnieć opieszałym o wyrównaniu zaległych opłat.

Adres Administracji Klubu „ODRODZENIA": Warszawa, ul. Wiejska 16, II piętro.

Mimochodem

Spotkanie w Pradze

Było popołudnie niedziclne, pogoda niedobra. Jechałem 30 godzin bez przerwy. Czułem się zmęczony i senny.

Nawet miasto o takim uroku jak Praga przestaje cieszyć podróżnika będącego w nieszczególnej kondycji. Mieszkańcy czeskiej stolicy wyjeżdżają w sobotę po południu na tradycyjny „week-end". Miasto było więc opustoszałe i prawie senne. Nie znalazłem żadnego znajomego, na próżno telefonowałem do przyjaciół. Deszcz z wiatrem, zrywający się raz po raz, utrudniał zwiedzanie. Lecz zwolna czar Pragi brał mnie na nowo w swoje władanie.

Podczas jednego z ataków ulewy, stojąc w pasażu, nawiązałem rozmowę z młodym Czechem o miłej powierzchowności.

— Pan jest Polakiem? — zapytał.

— Tak. Ale widzę, że i pan zna nasz język.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Znam, jak wielu Czechów z pogranicza śląskiego. Widzi pan, byłem przed wojną oficerem w Cieszynie. Czytałem sporo polskich książek.

— W oryginałach?

— Nie, w przekładach. Teraz właśnie skończyłem dwie powieści Prusa i „Trybunę ludów" Mickiewicza.

I niespodziewanie zaczęliśmy mówić o literaturze, kinie, teatrze, nauce. Młody Czech nigdy nie był w naszym kraju, a jednak znał polską historię, wiedział o Wawelu i Krakowie, o odbudowie Warszawy. Niespodziewanie — i trochę nieśmiało — zapytał:

— Czy nie potrzeba panu koron czeskich albo żywnościowych „listków?" Chętnie pożyczę.

Nie potrzebowałem, tego samego jeszcze dnia miałem opuścić czeską ziemię, gdzie tym razem byłem tylko przelotnie. Ale propozycja pożyczenia pieniędzy (i wartościowszych może jeszcze „listków") ze strony nieznajomego przypomniała mi wydarzenie inne. W roku 1938 za namową gorącego entuzjasty Czech, J a n a S z t a u d y n g e r a, po raz pierwszy przyjechałem do Pragi. Zatrzymałem się w dużym i wygodnym hotelu, tuż koło dworca; gdy przyszło do płacenia rachunku, portier zwrócił mi niespodziewanie część sumy.

— Czy Pan się nie myli? — zapytałem — Przecież wszystko się zgadza.

— Tak. Ale pan jest polskim obywatelem. Przysługuje więc panu zniżka od naszych cen.

Był to lipiec 1938 r., okres największego napięcia, a nawet pewnego w stosunku do nas rozgoryczenia. Mimo to zrozumienie dla konieczności i możliwości porozumienia, typowe dla przeciętnego Czecha, nie pozwalały na zmianę przyjaznego i życzliwego stosunku do gościa.

W kwietniu 1948 roku, jechałem taksówką z uroczej miejscowości M e l n i k do Pragi. Byłem z dwoma kolegami, cena którą ustaliliśmy z szoferem nie wydawała nam się wygórowana. Lecz gdy przyszło do płacenia, kierowca dobrowolnie obniżył swą należność o kilkanaście koron.

— Miałem kilku dzielnych przyjaciół wśród Polaków — powiedział — gdy znalazłem się podczas wojny na robotach w Rzeszy!

Do uczucia sympatii, która dziś łączy oba narody, miesza się jeszcze coś innego: wzajemne zainteresowanie. Jesteśmy sobie bliscy, możemy się porozumiewać bez tłumaczy, mamy podobne interesy i mnóstwo wspólnych tradycji. Zdaniem historyków polskich, zarówno Warszawa jak i Kraków zawdzięczają swą nazwę i genezę Czechom. Według S m o l k i (którego „Szkice historyczne" winno wznowić Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Czeskiej) Warszawę założyła rodzina W a r s z ó w, wygnana ze względów politycznych z Czech przez dynastię Przemyślidów. Jeszcze w XVII wieku nasz pisarz polityczny Miączyński występował przeciw elekcji Habsburga, powołując się na prześladowanie czeskiego narodu, który „jest z nami jednego języka i tej samej krwi". Jeszcze Mickiewicz pisał do Wacława Hanki „Kochany Rodaku!".

Ale historia wyżłobiła między nami a Czechami również pewne różnice. Nurt ludowości był u naszych sąsiadów silniejszy, związek z klasycyzmem i starożytnością słabszy, tradycję szlachecką zastępowało kulturalne dziedzictwo mieszczaństwa. Różnice te uwydatniają się nawet w języku, w którym te same słowa znaczą często zupełnie co innego. Podnoszono to już w czasie narad nad unią polsko-czeską po Grunwaldzie.

W doskonale redagowanym dzienniku czeskim „Lidove Noviny" znalazłem przed paru miesiącami zabawną anegdotę, dotyczącą naszych obecnych kontaktów literackich. J e r z y A n d r z e j e w s k i, który jest w Czechach bardzo popularny i lubiany, szedł do praskiego Ministerstwa Informacji. Adres tego Ministerstwa brzmi: T r ž i s t e 9 (to znaczy tyle, co targowisko, rynek). Andrzejewski jednak wymówił ów adres nieco z polska, co brzmiało: t r z y s t a d z i e w i ę ć. Przejmy przechodzień skierował więc autora „Nocy" na jedyną ulicę Pragi, która liczy aż 309 domów. Na nieszczęście — była to ulica w bardzo odległej dzielnicy...

Chęci jednak są zawsze dobre

W. N.

RADZIECKI PLAKAT POLITYCZNY

Nakładem wydawnictwa „Sowietskij Chudożnik" ukazała się ostatnio bardzo estetycznie i starannie wydana publikacja „Chudożniki sowieckogo płakata", zawierająca wybór najcelniejszych radzieckich plakatów politycznych od okresu Rewolucji Październikowej aż do chwili obecnej. Wybór prac 40 przeszło artystów ilustruje doskonale drogę, jaką przeszedł w ciągu 30 lat plakat radziecki, od pierwszych rewolucyjnych plakatów Moora, Deni i Okien Tassa, poprzez antyfaszystowskie afisze czy karykatury Kukryników, Jefimowa, Kokorekina, Koreczkija, aż po najnowsze plakaty nowego pokolenia radzieckich artystów-grafików, jak Toidze, Denisow, Prawdin. Ta bardzo potrzebna publikacja będzie niewątpliwie cennym przyczynkiem w dyskusji o grafice, jaka toczy się obecnie w kołach naszych twórców. Czy nie byłoby pożądane, aby i u nas ukazał się podobny zbiór najlepszych plakatów polskich grafików?

len.

D. Moor

Kukryniksy

W. Koreczkij

W. Iwanow

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek, i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16,** Dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 2000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 2.000 w ubiegłym tygodniu, otrzymała ob. Wanda Broniewska, Warszawa, Aleja Róż 6 m. 6, za wycinek z tygodnika „Odra".

DROGA PRZEZ MĘKĘ

W rubryce „Ruch wydawniczy" „Odra" informuje:

„Droga przez Mekkę", ta wielka trylogia powieściowa Aleksego Tołstoja, doczekała się zakończenia w czytelnikowskim wydaniu polskim. Trzeci jej tom w tłumaczeniu Władysława Broniewskiego i Wacława Rogowicza pt. „Pochmurny ranek", ukazał się w tych dniach na półkach księgarskich. Obok „Cichego Dona" Szołochowa, który ukazał się świeżo

znany jest również... „on, hiszpański *don*, uwodziciel żon", oraz popularny komik cyrkowy: Din-Don...

NIE TYLKO W AMERYCE

W związku z tragiczną śmiercią Margaret Mitchell pod kołami samochodu, „Przekrój" zamieszcza notatkę poświęconą pamięci... zbrodniczego szofera, pisząc:

11 sierpnia o godzinie 9 wieczorem przez jezdnię ulicy Rybackiej w Atlancie — tej ulicy rozsławionej w „Przeminęło z wiatrem" — szybko, w drodze do kina, przechodziła para: mężczyzna i kobieta. On — John R. Marsh, dyrektor firmy wydawniczej, ona — jego żona. W pewnej chwili taksówka jadąca z ogromną szybkością całą siłą uderzyła w kobietę, porwała ją pod koła i powlokła 20 metrów po asfalcie. Gdy przechodnie dobiegli przejechanej — ciało było już martwe. Zaaresztowany szofer okazał się pijanym 29-letnim mężczyzną, który na swym koncie miał już 24 mandaty karne za przekroczenia przepisów jazdy. Odstawiony do więzienia zachowywał się wyzywająco bezczelnie — wiedział widać, że w praktyce amerykańskiej zabójca kogoś sławnego sam staje się sławnym, i jego też czeka swoista popularność na łamach brukowej prasy, która wynagrodzi mu zapewne niewiele lat karnego zamknięcia.

A co innego zrobił „Przekrój"? Czy zamieścił może fotografię Margaret Mitchell? — Nie. Zamieścił fotografię... zabójcy.

POMOCNA DŁOŃ

Pragnąc wzbogacić krytykę marksistowską, Marian Piechal zajmuje się na łamach „Dziennika Łódzkiego" „Halką" Moniuszki:

Panicz ze dworu uwodzi ubogą dziewczynę z ludu. Ona kocha go nad życie, bo ożenek z nim jest dla niej jedyną możliwą drogą awansu społecznego —

Biedna Halka... Piechal — marksista zrobił z niej wyrachowaną wydrę, jakgdyby dziewczyna z ludu nie mogła kochać panicza za piękne oczy...

Omawiając postać Jontka, Piechal-marksista stwierdza:

Zakochany beznadziejnie w Halce Jontek jest wyrazem zdrowego instynktu klasowego,

A my wolimy kochać z wzajemnością i to bez względu na pochodzenie klasowe obiektu...

PEWNA I BEZTROSKA JEST JAZDA...

„W Dzienniku Bałtyckim" ukazało się następujące ogłoszenie PZUW:

UWAGA ROWERZYŚCI!

Pewna i beztroska jest jazda rowerem, gdy jest się ubezpieczonym w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych od następstw nieszczęśliwych wypadków oraz od odpowiedzialności cywilnej. Składka roczna za te ubezpieczenia wynosi zł 120. W razie przejechania, uszkodzenia, zabicia jednej lub więcej osób PZUW pokrywa pretensje poszkodowanych zależnie od zakresu ubezpieczenia do zł 100.000 — zaś w razie uszkodzenia cudzej własności do złotych 10.000.— Jeżeli na skutek nieszczęśliwego wypadku rowerzysta dozna stałego kalectwa, PZUW wypłaca odszkodowanie w granicach do zł 100.000, a w razie śmierci ubezpieczonego rodzina otrzymuje zł 50.000.

Pewna i beztroska jest jazda rowerem...

POEZJA I RZECZYWISTOŚĆ

W uroczystym dniu otwarcia trasy W-Z ludzie stwierdzili z ulgą, że Trasa jest znacznie ładniejsza niż wiersze o niej. Widzieliśmy tego dnia dużo radości w ludzkich twarzach, ale żaden z nas nie widział tego co sprawozdawca „Dziennika Polskiego":

...widziałem, jak jakaś kobieta z płaczem głaskała gładką, lśniącą powierzchnię wnętrza tunelu: głaskała, jak coś nieopisanie drogiego — i płakała...

Płyta tunelu wytrzymuje ciśnienie kilku kamienic — wytrzyma i to.

ODPOWIEDZI CAMERY

KISIEL — CZYLI HUMOR SZTUBACKI

Od ob. Kisiela otrzymaliśmy list następującej treści:

„Do Redakcji „Odrodzenia".

W dziale „Camera Obscura" („Odrodzenie" Nr 35) ukazała się notatka pt.: „Godność ludzka". Autor notatki zajmuje się poruszoną przeze mnie w „Tygodniku Powszechnym" sprawą zamordowania korektorki tego pisma oraz obcięcia jej głowy. W imię naruszonej godności ludzkiej autor notatki wyraża przypuszczenie, że wymieniona korektorka nie należała przed śmiercią do Związku Zawodowego, od czego powstrzymano ją groźbą ekskomuniki.

W związku z powyższym pośpieszam wyjaśnić, że wymieniona osoba należała do wszelkich możliwych związków i stowarzyszeń, lecz ani to, ani fakt, że była ona siostrą redaktora „Tygodnika Powszechnego" nie powstrzymał nas od popełnienia morderstwa. Pozbawione głowy zwłoki ukryte zostały skrzętnie w piwnicach re(d)akcyjnych „Tygodnika", zaś głowa nadana została jako przesyłka pocztowa. Jak wzmiankowałem, była to przesyłka dość lekka, niewątpliwie jednak zdecydowanie cięższa od analogicznej części ciała (tj. głowy) redaktora działu „Camera Obscura", której, będąc naczelnym redaktorem „Odrodzenia", zażądałbym natychmiast. Bowiem redaktor działu satyrycznego pozbawiony poczucia humoru — tego już nadto, nawet uwzględniwszy wszelkie okoliczności łagodzące.

Prosząc, na zasadzie obowiązujących ustaw, o umieszczenie powyższego sprostowania, łączę wszelkie należne wyrazy.

Kisiel".

Przypomina to anegdotę o dowcipnisiu, który pragnąc rozweselić towarzystwo, wyprowadził na chwilę do przedpokoju synka gospodarzy i po chwili zawołał do gości: Ile nóżek ma Jureczek? — Dwie! — odpowiedziano z pokoju. — A właśnie, że jedną, bo drugą wyrwałem mu przed chwilą! — Gdy zwrócono dowcipnisiowi uwagę na niestosowność żartu, wytknął zebranym brak poczucia humoru.

P. S. Przepraszamy czytelników za przedrukowanie całego listu Kisiela, ale humor naszego gościa polega na... gadatliwości.

KORESPONDENCJA

GRANICE TELEFILMU

Do Redaktora „Odrodzenia"

W 25 (238) numerze „Odrodzenia" w artykule „Telefilm i jego przyszłość" K. Wołkowicz pisze: „Widowisko... (telewizyjne dop. mój), wędrując sobie naokoło świata będzie odbierane przez tysiące czułych aparatów, nie podlegających władzy kapitalistycznych producentów" i dalej „Telefilm nie uznaje cenzury, zakazów importu ani granic politycznych. Film dotrze wszędzie tak jak obecnie radio".

Autor artykułu przed jego napisaniem najwyraźniej nie zapoznał się ze sposobem przesyłania filmów na drodze telewizyjnej i sformułował zdania stojące w wyraźnej sprzeczności z rzeczywistością. Jak wiadomo, obrazy telewizyjne nie mogą być przesyłane na falach o długości fal radiofonicznych, lecz korzystają z fal o wiele krótszych, co w konsekwencji powoduje, że ich rozprzestrzenianie się podobne jest do rozchodzenia się fal świetlnych, a więc zasięg stacji telewizyjnej nie przekracza kilkudziesięciu kilometrów. Powiększenie terytorialnego zakresu działania stacji nadawczej może się dokonać tylko przez zbudowanie siatki stacji przekaźnikowych, umieszczonych w odległości tych kilkudziesięciu kilometrów jedna od drugiej. Nie ma więc mowy ani o dotarciu obrazów do „odciętych od świata zakątków" ani o „wędrowaniu widowiska dookoła świata", ani też o przekraczaniu granic politycznych na duże odległości, gdyż wymagałoby to inwestycji na terenie obcego państwa a więc i jego zgody i cenzury. Korzystanie zaś z urządzeń przekaźnikowych telewizji obcego państwa bez jego zgody miałoby mutatis mutandis — ten sam skutek, co nadawanie audycji na fali zajętej już przez inną stację.

Szkoda, że autor artykułu nie zapoznał się w odpowiednim czasie z poruszanym problemem od strony technicznej i na fałszywych podstawach budował skądinąd słuszne wnioski natury społeczno-politycznej.

Przewidywania Wołkowicza co do wpływu telefilmu na zmniejszenie się ilości kinoteatrów są również niesłuszne, jeśli chce się oprzeć tylko na przykładzie radia i sal koncertowych. Wiadomo przecież, że obraz kinowy i telewizyjny są tej samej jakości, tymczasem muzyka nadawana przez radio, pomijając szumy i trzaski, nie zawiera tonów powyżej 7.000 okresów na sekundę, podczas gdy instrumenty muzyczne wytwarzają tony o częstotliwości do 20.000 a/sek., a więc koncert przez radio jest uboższy.

Jerzy Auerbach

JESZCZE O HENNINGU BERGERZE

Do Redaktora „Odrodzenia"

W związku z artykułem „Amerykańska powódź" w 33 (234) numerze „Odrodzenia" oraz nawiązującą do niego notatką H. Szletyńskiego w nr 35 (248), pozwalam sobie dodać kilka wyjaśnień.

Zmarły w r. 1924 w Kopenhadze Henning Berger był istotnie Szwedem, ale Amerykę znał dobrze. W ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku spędził tam szereg lat i wrażenia zetknięcia się z kontynentem amerykańskim, zebrane w formie zbioru nowel pt. „Där ute" („Tam"), były jego udatnym debiutem literackim w r. 1901. Jako nowelista, Berger miał swego czasu duże powodzenie w Szwecji. Szczególnie ceniono jego efektowny, impresjonistyczny styl, a ironia, pesymizm i sensualizm, przenikające jego twórczość odpowiadały gustom epoki. Czytany bywa jeszcze po dziś dzień. Historia nowszej literatury szwedzkiej zalicza Bergera do grupy tzw. „Flanördiktare" (pisarze łaziki, szlifibruki), których istotnie cechowała daleko idąca obojętność wobec zagadnień społecznych. Niemniej sprawy te nie były, zdaje się, obce Bergerowi. Swego czasu czytałem wspomniany powyżej zbiór nowel amerykańskich oraz powieść „Gulaschbaroner" (Paskarze), osnutą na tle życia spekulantów szwedzkich z okresu pierwszej wojny i — o ile dziś sobie przypominam — poruszał tam on zagadnienie wyzysku kapitalistycznego. „Syndafloden" (Powódź) grana była w Sztokholmie w 1948 r.

Bolesław Skarżyński

Barwiki dla tkactwa artystycznego

Potrzeba jest matką wynalazków. Stare to przysłowie znalazło potwierdzenie w rozpoczętych obecnie próbach wynajdywania i preparowania krajowych barwików roślinnych do wełny, jako surowca dla tkactwa artystycznego. Znaczenie tych prób występuje dopiero na tle sytuacji powstałej w tkackiej twórczości artystycznej, która z braku odpowiednich barwików pochodzenia zagranicznego, nie tylko roślinnych, (indygo, koszenila, żółte drzewo), ale również chemicznych — kurczy się i podupada. Zmiany kolorystyczne, które zauważyć można we współczesnym tkactwie artystycznym, zwłaszcza ludowym, są częściowo tylko wykładnikiem upodobań estetycznych ich twórców, głównie zaś odzwierciedlają stan naszego rynku farbiarskiego. Tkactwo artystyczne nieludowe — jakkolwiek w dużo mniejszym stopniu od ludowego — ulega jakościom dostępnego barwika i potrafi je bardziej umiejętnie zużytkować, niemniej jednak ograniczać musi swoje możliwości twórcze w zależności od rynku farbiarskiego.

Stan ten pchnął znaną artystkę-tkaczkę Annę Sledziewską, docenta warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i członka spółdzielni „Ład" do podjęcia prób powrotu do barwików roślinnych, uzyskiwanych z roślin krajowych, łatwo dostępnych. Jest to do pewnego stopnia powrót do dawnych technik ludowych, ongiś powszechnie znanych, dziś już zaginionych, oparty zarówno na nowoczesnej wiedzy zielarskiej, jak na zdobyczach chemii. Brak bezpośrednich nawiązań do zamarłych już tradycyj ludowych ma swoją dobrą stronę w tym, że poszukiwania obecne nie idąc utartym szlakiem wiedzy dawnej, sięgają do roślin wszelkiego rodzaju, niewątpliwie w dużej części dawniej nieużywanych do celów barwiarskich. Stąd też możność otrzymania nowych rezultatów, zwłaszcza przy użyciu metod, opartych o nowoczesną wiedzę przyrodniczą.

Prace doc. Sledziewskiej, prowadzone w ramach Akademii Sztuk Pięknych i wspomagane przez Państwową Centralę Zielarską — mają przed sobą szerokie perspektywy. Poza najważniejszym aspektem artystycznym, nie mniejsze znaczenie posiadają względy gospodarcze. Rezultaty kilkumiesięcznych zaledwie prób pozwalają żywić jak najlepsze nadzieje. Z trzech głównych kolorów farbiarskich: żółtego, niebieskiego oraz czerwonego, wydobyto z roślin już dwa: żółty i niebieski, wraz z całą gamą kolorów i tonów pochodnych, jak zielony i beżowy. Pewnego rodzaju sensacją jest uzyskanie koloru niebieskiego, który uważany był za nieosiągalny w dziedzinie barw roślinnych, poza indygiem. W toku są próby nad kolorem czerwonym, którego wynalezienie zamknęłoby krąg barw podstawowych, dając zasadnicze rozwiązanie problemu uzyskania pełnej skali barwików roślinnych.

Skutki tego odkrycia dla sztuki stosowanej będą dwojakiego rodzaju. Usunięte zostaną przede wszystkim obecne trudności w oddaniu w tkaninie barwnej wizji artystycznej twórców. Zmieni się też jakość tonacji barwnej z twardej i ostrej, właściwej barwikom chemicznym, na łagodne i miękkie, mimo żywości. Cechy te występują już obecnie w całej pełni w gamie kolorów żółtych, które, nawet w żywym i natężonym kolorystycznie odcieniu, posiadają mat starego złota.

Znaczenie barwików roślinnych polega głównie na tym, że polepsza jakość artystyczną tkanin zdobniczych, przyczyniając się do podniesienia naszej kultury estetycznej. Zagadnienie to podejmą studenci Akademii Sztuk Pięknych i eksperymentując w dalszym ciągu w pracowniach, zainstalowanych w Uczelni, będą nie tylko posuwać naprzód osiągnięte już wyniki, ale nawiążą bliższy kontakt z tworzywem, poznając bezpośrednio jego prawa i możliwości.

Dotychczasowe rezultaty prac doc. Śledziewskiej zostały pokazane na wystawie dorocznej Akademii w jej budynku przy Krakowskim Przedmieściu 5.

Józef Grabowski

W poprzednim 37 (250) numerze „Odrodzenia": Wojna: cierpienia milionów mężczyzn, kobiet i dzieci. — Pokój: Przemówienie L. M. Leonowa na Kongresie Pokoju w Moskwie. — **Władysław Broniewski:** Opowieść o życiu i śmierci Karola Waltera-Świerczewskiego, robotnika i generała. — **Roman Bratny:** „Rok dwudziesty" trwał lat dwadzieścia. — Mimochodem: **W. N.:** 500 marek. — **Arkady Fiedler:** Nowa Hiszpania, ideał drapieżnej kolonii. — **Stanisław Zieliński:** Defilada. — **Jarosław Janowski:** Meteor — nad literaturą. — **Jerzy Broszkiewicz:** Kształt miłości — Film: **Jerzy Płażewski:** Powojenna kinematografia polska. — **Taśma „z deszczem": Kontra-typ: Milcząca filmoteka.** — Na rusztowaniach kultury. — Tydzień bibliograficzny. — Kramik Bukinisty: Podał do druku **B. M. Długoszewski:** Instrukcja przy wyjeździe z domu. — **Zbigniew Troczewski:** Pięciolecie teatru białostockiego. — **Antoni Marianowicz:** Madrygał Marienstacki. — Camera obscura. — 8 ilustracji. 8 stron.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik" Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-83570 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik